

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 30 CZERWCA 1928 ROKU

NR 27

TREŚĆ NUMERU: Chwila dziejowa obecna — *Z. Zaleska*. Tyranja stopnia — *Wanda Boruazka*. Na marginesie Wielkich Praw — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Wieki widome i wieki niewidome” — *Anna Ludwika Czerny*. W starem lustrze — *Bronisława Ostrowska*. Kryształowa kula (dok.) — *Max Wit*. Pszczoły — *Ewa Szelburg*. Zgon Mrs. Pankhurst — *N. J. Z* książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *S. P. O.*, *H. G.* i *H. N.* Wykształcenie zawodowe kobiet — *Zofja Miszewska*. Słońce — *W. D.* Dziesięć dni w Czechosłowacji — *M. Karczewska*. Pakowanie truskawek — *Stan. Schönfeld*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Mody i roboty: Sukienki na wieś i na letnisko — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*.
Arkusz wzorów.

CHWILA DZIEJOWA OBECNA

Stoimy dziś na przełomie dziejów. Naszemu pokoleniu danem jest patrzeć na chwilę, jakiej równej nie było w dziejach świata od wieków. Bo bywały już okresy tworzenia się nowych państw i padania w gruzy starych potęg, bywały przełomy myśli ludzkiej, olbrzymie rozkwity i straszne upadki kultury, — ale to wszystko było dotychczas ograniczone czasem i przestrzenią, dzielącą poszczególne ogniska cywilizacji, dzielącą środowiska ludzkie, niedopuszczającą wieści, aż dopiero po długim czasie, i to w określonych tylko granicach lądów.

Dziś jest inaczej. Dziś wynalazki genialnych mózgów ludzkich zniosły odległości między narodami. My dziś wiemy, co przed kilku zaledwie godzinami, ba! stacje telegraficzne wiedzą, co przed 5 minutami działo się w najodleglejszych punktach ziemi.

I my dziś — przy całym, aczkolwiek tajonym, militarystycznym państwie — jesteśmy świadkami tworzenia się wspaniałego obrazu solidarności ludzi, budujących cywilizację świata.

Dziś, gdy „Italja” gen. Nobile ginie kędyś w lodowatych podbiegunowych obszarach, pędzą jej na ratunek płatowce Norwegii i Szwecji, okręty i hydroplany Anglii. Gdy Lindbergh zwycięża Atlantyk, grzmi Marsyljanka w Paryżu. Gdy w Japonii trzęsienie ziemi i wybuchy wulkanów niszczą całą prowincję, — gardzące kolorowemi rasami Stany Zjednoczone pierwsze ślą swoje okręty z żywnością i lekarzami. Gdy pastwą kataklizmu pada Bułgarja — spieszą jej na pomoc wszystkie państwa okoliczne. Gdy kobiety francuskie walczą o równouprawnienie, —

związki kobiece Anglii nadsyłają im materiały i dane statystyczne dla argumentacji. Możnaby tak długo ciągnąć przykłady.

A kongres międzynarodowy naukowej organizacji pracy, Kongres rolniczy, Kongres medycyny, Kongres działaczy społecznych? a z naszych, kobiecych: Kongres rady międzynarodowej kobiet, Kongres gospodarczego wykształcenia kobiet, Kongres katolickiej unii związków kobiecych? — Kto na tych międzynarodowych zjazdach bywa, atmosferę ich, pracę, kierunek obrad śledzi — ten wie, że nie przy stołach dyplomatów, nie w gabinetach szefów sztabów lecz tam — tam, gdzie zjeżdżają się te najlepsze, najtęższe siły działaczy społecznych, uczonych, fachowców — tam wypracowuje się przyszłość świata!

My widzimy dziś stojące naprzeciw siebie dwie potęgi. Stary, zachłanny, egoistyczny duch tych narodów, które nie chcą zrozumieć, że wszystkie ludy ziemi mają prawo do swego miejsca pod słońcem i że każdy naród wnosi swe wartości odrębne do skarbcza ogólnoludzkiej kultury — mierzy się z tym drugim, nowym, z twórczym rozmachem idącym przez świat ku współpracy wszystkich dla dobra wszystkich. Pierwszy wywodzi się z chaosu pojęć moralnych, dąży do zatury i zniszczenia. Drugi, jakkolwiekby się nazywał, jakiegokolwiekby formy przybierał — zrodził się i korzeniami swymi tkwi w chrześcijaństwie. Bo tylko w chrześcijańskim pojmowaniu życia mamy to olbrzymie, tak intensywne skupienie wszystkich sił człowieka wewnątrz siebie, w ustawicznym dążeniu do postępu i doskonałości

własnej, a jednocześnie to zwrócenie się — jakby wybuchem tych sił wewnętrznych — na zewnątrz, ku służbie dla innych ludzi. W tym to pozornym paradoksie: skupienia i rozstrzelenia ducha — leży różnica między chrześcijańsko-zachodnią a wschodnią ideą życia.

Na tle tych wielkich międzynarodowych poczynąń zarysowuje się przejście z epoki narodów w epokę ras. Narody anglo-saskie rozpoczęły pracę nad ściślejszym zbliżeniem. Słowiańszczyźnie Czechy przypominają dawną polską ideę, skradzioną i wypaczoną przez Rosję carską, wielkiej unji narodów słowiańskich. Zbudziła się Azja. W Indjach, śpiących od tysiąca lat i rozbitych na tysiące plemion, wstaje wielki Ghandi i budzi je ku zjednoczeniu, przypomina dawną wielkość i wzywa do zrzucenia angielskiego jarzma. Mongolja marzy o odrodzeniu Azji środkowej. Japonja — żeby stanąć na czele Chin. Budzą się nawet ludy czarne.

Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie gotują się jakieś przemiany. Życie leci w zawrotnym tempie. Powstają wielkie idee i wielkie plany. Dokonują się najszalonejsze eksperymenty. W naszych oczach buduje się nowa Turcja, Egipt. Z za Apeninów dolatuje dźwięk tarcz bojowych starego Rzymu Cezarów. W naszych oczach dokonało się najstraszliwsze samobójstwo 150.000.000-go narodu: obok nas, o mie-dzę, kipi ten okropny kocioł, zbudowany z gruzów Rosji, który może rozsadzić całą Europę.

A cóż my, polacy? Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze pokolenie zadecyduje o przyszłości Polski? że od naszej pracy, naszych mózgów i serc zależy, czy Polska oprze się bijącym w nią ze wszystkich stron prądom obcym, czy odzyska dawne znaczenie, znajdzie swój szlak dziejowy? Walą w nas przecież setki najrozmaitszych koncepcyj, na naszej ziemi zмага się komunizm z siłą ducha cywilizacji chrześcijańskiej, nam na kresach ruszczą i germanizują dzieci, my to zacofani jesteśmy gospodarczo o sto lat, o cały wiek niewoli.

Cóż my? Jaką jest nasza idea? Czego my chcemy dokonać na świecie?

Przed Wielką Wojną całe pokolenia żyły jedną wielką ideą — ideą, która w istocie swej rzeczy jest tylko środkiem do celu. Nasi dziadowie i ojcowie szli przez życie z myślą o Niepodległości. I ta myśl w latach niewoli na dalszy plan odsunęła pojęcie, czem jest własne państwo. Szukano tylko dróg, doń wiodących, na chwilę odrodzenia odsuwając program tego państwa. I nic dziwnego. Ale z chwilą odzyskania Wolności stała się rzecz dziwna: społeczeństwo jakby straciło cel życia. Gdzieś, między posadą, a mandatem, między danciem, a kabaretem — zgubiono po-

jęcie dróg i celów narodu. Zarzuciło się gdzieś wśród codziennych zajęć pytanie, jaką jest idea Polski? Ogół polaków nie zadaje go sobie, co gorsza — nie umie nań odpowiedzieć!

Za dawnych czasów Rzeczypospolitej, gdy Władysław Niezłomny i Przemysław Wielkopolski, na czele rycerstwa z drobnej szlachty i wolnych kmieci, podnieśli hasło walki ze zgermanizowanym mieszczaństwem — idea państwa żyła w duszy polaków, jako energia twórcza. Była myślą przewodnią ogółu, rozumiejącego lepiej, niż dziś, pojęcie obowiązków i praw obywatela, dawała wolę i moc, kształciła charakter przez ideę służby narodowej. Idea ta była mocą twórczą wtedy, gdy tu, na naszej ziemi, jak i dziś, była ostatnia placówka cywilizacji chrześcijańskiej, gdy tu tworzyła się ta wielka słowiańska potęga, która w 2 wieki później zjednoczyła pod berłem Jagiellonów Polskę z Ukrainą i Litwą, Czechy i Węgry, dzisiejszą Rumunję, Łotwę i Estonję, — o dwa morza oparta, położyła kres marzeniom Azjatów o zawojowaniu Europy, wzywana była przez moskiewskich bojarów do objęcia Rurykowiczów spuścizny, a miała dumną obojętność Zygmunta Starego wobec perspektywy objęcia tronu Rzymsko-Niemieckiego Cesarstwa. To było wtedy, gdy powstała ta przedziwna, wielka Respublika, która szła przed wiekami w słońcu i sławie, z poszumem orlich skrzydeł husarskich u ramion, z pieśnią Bogarodzicy na ustach, ku wolności człowieka w wolnym państwie — wtedy, gdy w państwach Europy niewolnicze tłumy były pokłony przed tronami despotów.

Trzeba cofnąć się w tecz spojrzeniem, trzeba przypomnieć sobie w perspektywie wieków, czem była nasza Ojczyzna, by zatargało się niecierpliwie serce, by wybuchnęła ta дума, która jest źródłem czynów. Trzeba każdym nerwem swej istoty poczuć się spadkobiercą przeszłości, by móc budować przyszłość.

Dziś powinno być zawsze większe od wczoraj!

Dziś tworzy się znów Polska, znów stoimy na przełomie dziejów. I dlatego tak olbrzymią jest nasza odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń! Dlatego tak ciągle trzeba w dzwony bić i o czyn wołać. Trzeba wskazywać ludziom to wspaniałe, jedyne ze wszystkich słońc świata, słońce Polski, i wciągać ich w szeregi Służby Narodowej — jedynej, dla której warto żyć!

Bo „jak sen gaśnie wszelkie miłowanie i wszystko ziemskie ima w plen mogiła, jedno ku Tobie trwałe jest kochanie, Ojczyzno miła!“.

Z. Zaleska.



WANDA BORUDZKA

TYRANJA STOPNIA

Sprawa psychicznych przeżyć młodzieży stała się zagadnieniem szczególnie mocno pulsującym, zwłaszcza, że okres maturalny i zakończenie roku szkolnego, poza związanym z nim nastrojem szarpiącego niepokoju o ten „decydujący w szkolnym lub dalszym życiu” wynik — nasuwał myśl, od której cierpły serca rodzicielskie. Doświadczenia lat ostatnich wykazały, bowiem, zastraszający procent samobójstw młodzieży w tych miesiącach. To też z łamów prasy podrywał się raz poraż ten, czy inny projekt zwalczania zła, bądź w jego przeraźliwie wybujałej formie, bądź podcięcia u samej nasady możliwości jego powstawania. Tembardziej, że — jak to skonstatowaliśmy niejednokrotnie — gwałtowne zachwianie równowagi młodego istnienia przejawiało się w formie ostrych porachunków nie tylko z własnym, ale i z cudzym życiem.

Podobnych zjawisk, sygnalizowanych zwykle jako objaw upadku moralności i zdżiczenia, niepodobna jednak rozpatrywać wyłącznie w tych płaszczyznach. Stan niepokoju i zdenerwowania, jeśli nie sięga nawet granic ostatecznych, woła o przyczynach, tkwiących głębiej, choć — wyjątkowo w tym wypadku — bliżej. Spróbujmy wyodrębnić rdzeń konfliktu. Jest nim zawsze t. zw. niepowodzenie szkolne, potraktowane, jak życiowa katastrofa. Zbytecznym będzie zarzucanie daleko sieci badań na wyłowienie faktu, znajdującego się przy samym brzegu, jeśli zechcemy zastanowić się na chwilę nad pytaniem: czym jest stopień w życiu młodzieży szkolnej?

Już od najpierwszej, przełomowej w życiu dziecka, chwili zaciągnięcia rzemyków na paczce, uprzedniego dnia przygotowanych książek i zeszytów, podpada ono całkowicie pod miłościwe, lub nieubłagane wrogię panowanie tej nowej władzy. Powodująca się niezależnymi często od ucznia względami, uwarunkowaniami wyłącznie przedszkolnym przygotowaniem, dzieli ona opresję swą i przywileje wysoce nierównomiernie.

Arystokracji klasy — uczniom celującym — słusznie należy się rozpatrzenie w pierwszym rzędzie. Tej górnej warstwie w szkolnej hierarchii natura zwykła udzielać swych darów w trzech postaciach, które w małym stopniu dokładności możnaby określić, jako: zdolności, wolę i poczucie obowiązku.

Rozważanie proporcji tego, bezcennego w swej wartości, uposażenia byłoby zupełnie w tym wypadku bezcelowe. Wystarczy fakt, że ogólna suma daje w rezultacie możność zwycięskiego sterowania wśród

zdradzieckich a złośliwych raf podwodnych wiedzy Z tej kategorii uprzywilejowanych z pewnością nikt nie trafi do „ponurej rubryki” wykolejeńców.

Szczęśliwie na świadectwach rozstawiony, choć monotonny nieco, szereg piątek może najwyżej w dalszym życiu sprawić kłopot z ustaleniem istotnego zamiłowania pośród aż nazbyt wielu możliwości.

Grupa druga — zgrubsza bowiem potraktowany system szufladkowy da się od biedy w tym wypadku zastosować — przymyka już częściowo do gatunku pokrzywdzeńców.

Trzy zasadnicze, uprzednio wymienione elementy triumfalnego, lub tylko umiarkowanego beztróskiego prosperowania na szkolnym gruncie, nie zespalają się już w zgodny akord. Jakies się w nim widocznie wytwarzają dysproporcje, dające w rezultacie rzewnymi uczniowskimi łzami oplakane deficyty. Zdolności w pewnych kierunkach wybujałe — wyłamują przy każdym zetknięciu z przedmiotami, do których serce nie łągnie, a umysł, jako wmuszanego siłą, a nieodpowiedniego pokarmu — trawić nie chce.

Zasadniczy postulat szkoły średniej — równomierne dawkowanie nauk z wszelkich dziedzin — przybiera formę bezskutecznego forsowania niepodatnego w pewnych punktach intelektu. Obok żywiołowego ukochania niektórych przedmiotów, w sercach uczniów tego typu rozkrzewia się niemniej żywiołowa nienawiść do opornych dziedzin. Wynikiem tej ochotnej służby umiłowanym bóstwom i głuchej walki z arbitralniami, nieuznawanymi wgłębi, przedmiotami jest cały szereg nieporozumień. Najdrobniejsze z nich, otarte o wrogi kant przypadku, gotowe jest strzelić iskrą buntu.

Jaskrawa pstrokaczna stopni staje się na sesjach tematem uporczywych dysput nauczycielskich, uniemożliwiając doprowadzenie do wspólnego mianownika porozumienia, co do szkolnej wartości jednostki tego typu. Każdy z nauczycieli, bowiem, widzi podwładny obiekt w wyłącznym świetle wykładanego przez siebie przedmiotu. Natrafiający na niepomyślną koniunkturę, słusznie żądają uwielokrotnienia nakładu pracy, podświadomie nieraz staczając walki z instynktem samozachowawczym ucznia. Lenistwo, bowiem — termin, który, nawiasem mówiąc, domaga się psychologicznego rozszczepienia na cały szereg głęboko różnorodnych elementów — w tym wypadku jest niejednokrotnie zdrowym odruchem duchowego organizmu, oszczędzającego siły dla twórczej pracy na terenie bliższej, bezpośrednio umiłowanej sprawy.

Zbytecznem jest dodawać, że materiał tego typu, wybitnie zindywidualizowany, przez samą nierównomierność dyspozycji kryjący bogate możliwości potencjalne, traktować trzeba, jako wybuchowy. Biorąc to określenie od najlepszej strony, tem pilniej dbać należy o konieczną izolację, by nie zmarnować napróżno i nie wporę, sprężonej — sobie i społeczeństwu triumfy gotującej — cennej siły.

Grupa trzecia jest już jednolitem utrapieniem sił nauczycielskich. Szeregi niedostatecznych ocen najdobitniej świadczą, że uczniowie zupełnie się do danego typu uczelni nie nadają. Ich egzystencja szkolna jest szeregiem sromotnie przegranych potyczek, i byłoby najlepiej, gdyby się możliwie prędko z niefortunnie obranego pola bitwy wycofali. Są to ofiary niewczesnej ambicji rodziców, co nie zadali sobie trudu wnikać w prawdziwe upodobania i zdolności dziecka i skierować je do szkół, chociażby zawodowych, które znalazłyby w nich z pewnością wdzięczny materiał.

Lata szkolne są dla młodzieży tego typu wegetacją, nieokraszoną ani jednym momentem entuzjazmu, a nauka — czemś mdłym i ciężkostrawnym. Dotkliwie i na każdym kroku upokarzana ambicja przetrada się niejednokrotnie w stępiłą obojętność, lub apatię.

W przeciwnym wypadku jest, jak niegojąca się rana, którą pierwsze lepsze z doznawanych niepowodzeń może w wysoce niebezpieczny sposób zapalić i rozjrzeć.

Te wszystkie — bardzo czasem smutne — sprawy po same brzegi wypełniają dusze młodzieży. Zdarzenia szkolne urastają do miary zdarzeń świata. To też pod spokojną napozór powierzchnią szkolnej monotoni kryje się niejedna tragedia, której dom częstokroć nie dostrzega i do której niejednokrotnie się przyczynia.

Jakież jest, bowiem, stanowisko domu w tych wypadkach?

Triumfy celujących słuszną dumą spływają w serca rodzicielskie. Stosunki triumwiratu — dom-dziecko-szkola — układają się gładko i przychylnie. Jedynie w wypadkach, w których o powodzeniu decydują nie zdolności, a siła woli i obowiązkowość ucznia, należałoby bacznie wejrzeć, czy aby wytężenie organizmu nie przestaje czerpać z procentów — sił życiowych — marnując bezpośrednio kapitał zdrowia. Odezwie się to, bowiem, na terenie dalszej, życiowej szkoły, gdzie będzie chodziło o zdobycie niejednej piątki, na której, przy późniejszym rozrachunku, będzie bardziej jeszcze zależało.

Tak, czy inaczej — szkolne perły i gwiazdy tego typu, bądź gorliwą pracą, bądź szczęśliwie zrytmizowanymi zdolnościami, kupują sobie trwałą i pewną spokój.

Odmienne przedstawiają się losy zarówno uczni o nierównomiernie rozłożonych zdolnościach, jak i tych, na których podobało się naturze porobić przesadne oszczędności. Żyją oni w krzyżowym ogniu represyj szkolnych i domowych. Skala tych środków, mających służyć ku wzmoczeniu pobudliwości naukowej, jest wielce różnorodna, jako że uzależniona od kultury i poglądów rodzicielskich.

Począwszy od łagodnego upomnienia, poprzez wszystkie stopnie coraz to ostrzejszych wymówek, dochodzi się do prymitywnych rozpraw wedle recepty Ducha Świętego, w redakcji Jachowicza.

Wszystkie te sposoby wychodzą z jednego założenia: podzielać na ambicję ucznia.

Szczególną wrażliwością na złe stopnie, a co za tem idzie, gorliwością represyjną — odznaczają się rodzice (zwłaszcza ojcowie), co sami ongiś celowali w poszkodowanych przedmiotach. Na niedołęstwo dzieci w tym kierunku reagują nieomal, jak na obelgę osobistą, wyolbrzymiając sprawę i przypisując drobnym często nieporozumieniom szkolnym znaczenie, decydujące o całym dalszym życiu.

Skutek niezawsze bywa trafnie przewidziany. Pominąwszy wypadki osiągnięcia celu, co wymaga szczególnie taktownego i czujnego pokierowania sprawą — ambicja ta tępieje, lub wchodzi w stadium skrajnego przewrażliwienia. Trudno określić, który z tych rezultatów jest lepszy. Wbrew logice, są bodaj oba gorsze; drugi jest w każdym razie bardziej niebezpieczny.

Intensywność odczuć w okresie przekraczania granicy między dzieciństwem a młodością, jest czemś w rodzaju megafonu, potęgującego zarówno jęklive, jak radosne dźwięki świata. Jedno — nieopatrznie, w ferworze szczerzego oburzenia, czy pseudopedagogicznego zapалу — wyrzeczona słowo, może grzmieć echem odezwając się w dziecinnej duszy. Przygodkowa pogroźka, czy nieobmyślona uwaga, o której się już nazajutrz nie pamięta, może zapasć na dno podświadomości i tam rozrosnąć się w trujące kłacze nienawiści i rozpacz.

Powyższe rozważania nie mają bynajmniej na celu propagandy pedagogicznego systemu Daltona, czy innych metod szkolnych, ani też zbytniego pobłażania dla lenistwa.

O pierwszych — nie omieszkają wydać sprawiedliwego sądu — wyniki; drugie zjawisko byłoby wręcz niepożądane.

Należy jednak zanalizować bacznie przyczyny „opuszczania się” i wyodrębnić rzeczywiste próżniactwo, któremu zaradzić może odpowiednio dawkowany przymus, od wypadków słabego zdrowia, aberacji w pewnym kierunku, usprawiedliwionej innem zamiłowaniem, oraz nieodpowiedniego dla danej uczelni poziomu. Okres wakacyjny wykorzystać należy dla zbi-

lansownia dotychczasowych wyników pracy ucznia, aby z rozpoczęciem nowego roku szkolnego ustalić właściwy sposób postępowania.

Nadewszystko zaś — raz nazawsze przenieść sprawy niepowodzeń szkolnych z płaszczyzny grozy i patosu do rubryki kłopotu, któremu zaradzić

można w ten, czy inny sposób. Przejściowy, szkolny okres przestanie wtedy zasłaniać sobą szczęśliwe możliwości dalszego życia, uczniowskie nerwy nie będą ulegały ciągłemu naprężeniu, niepowodzenie zaś nie urośnie w młodej wyobraźni do kulminacyjnych wyżyn klęski.



M. H. SZPYRKÓWNA

NA MARGINESIE WIELKICH PRAW

Wyjazd na lato jest momentem, którego osobście nigdy nie umiałam dość podkreślić ze względu na jego znaczenie. Może zostało mi to z dzieciństwa, kiedy po nieskończonych zimowych miesiącach wracało się do domu na wieś i przeżywało niewysłowione szczęście powrotu do drugiego, wielkiego Domu — do natury? Dość, że święto wakacji jest dla mnie nad wszystkie inne święta, bo, jak źródło wszelkiego uzdrowienia, leczy duszę i ciało, zakurzone przez życie w mieście.

Mam na myśli nie tylko samą poezję, a jeszcze i zdrowie. Jak trzeba by ułożyć sobie życie na wsi, ażeby wrócić naczepniętą innem, sprężystym, lepszym życiem? I czym to spędzanie czasu różniłoby się od ogólnie przyjętych? Trzeba by na to osobnego traktatu. Ale jeden moment chciałabym wysunąć narazie: ranek.

Nie ja, ale na szczęście lekarze doszli już kategorycznie do wniosku, że rano słońce ma zupełnie inne i nieporównanie bardziej twórcze właściwości, niż o wszelkiej innej porze dnia. Koncentruje w sobie wtedy siły, nieznane bliżej, ale których wyniki dadzą się jednak sprawdzić, jako najbardziej dodatnie. Nie wiem, o ile któraś z pań miejskich znosi i uznaje ranne wstanie? Nie mam, naturalnie, potrzeby zachęcać do tego, a zwłaszcza — pouczać o tem — wieśniaczek! Wiedzą doskonale, co zawdzięczają rankowi. „Ranne godziny — złote godziny!” — mówią w różnych formach przysłowia wszystkich narodów. I coś w tem zapewne musi być.

Ale chciałabym rzec słówko do pań z miasta. Czy panie próbowały kiedykolwiek podnieść się ze snu w godzinie dziwnego misterjum, kiedy to lekarze starożytności polecali zbierać niektóre lecznicze trawy i zioła — czas, gdy ich słowami: „biała nić da się już odróżnić od szarej”? Godzina jeszcze prawie popielata, ale która już nasiąka najbledszym różem i seledynem, zanim rozgorzeje wspaniałą fanfara barw! Jeszcze

pusto, jeszcze cicho, jeszcze wszystko śpi... Może to być między drugą, a trzecią. Proszę się nie przestraszać! Nie chcę namawiać pań, aby wstawały o tej porze codziennie: ale gorąco im zalecam i serdecznie je proszę: niech wstaną raz, drugi i trzeci! Potem już wiem, że prosić nie będę potrzebowała: zechcą same!

I otóż wstajemy. Cicho i pusto: wszystko śpi! Świt zaledwie się robi błękitny. Nie ubieramy się, broń Boże! za solidnie: coś sandałowego na boscie stopy, coś szlafrokowego na siebie, coś, co jest krótkie i czego nie żal, bo — rosa! Czy panie widziały rosę o trzeciej rano? Jest, jak perłowa osiedź na trawie, jest mokra, ciężka, pachnąca, cudownie świeża, niebywale czysta, taka, że niema kobiety, któraby nie miała odruchu zanurzyć twarzy w liście, zroszone jej perłami, wetchnąć ją całą piersią, napić się, jak nektaru! I świetnie: jest to pierwszorzędnny specyfik na urodę, który, jeśli się panie tem interesują, jeszcze stary mag Paracelsus w średniowieczu polecał, jako najznakomitszy eliksir młodości: „spiritus roris majalis”. Proszę się nie bać, że ziębi nóżki, że batysciaki są natychmiast przemoczzone do cna, że niema mowy o przyzwoitem obuwu na taki spacer: kuracja na rosie warta więcej! A z mniej poetycznego stanowiska, podobno świetnie leczą się odciski przez chodzenie boso po zimnej rosie, poczem szybko trzeba się położyć, ciepło nakryć i ogrzać się, żeby nie kichać.

A czy panie wiedzą, jak pachnie ziemia o świcie?

Jak balsam. Najcudowniejszy balsam wszystkich kwiatów, drzew, ziół i traw! Skoncentrowana esencja, która uderza po wyjściu na powietrze do głowy, aż się kręci i nie wie, gdzie jest! Topole rano! Rezeda rano! Mięta i Boże drzewko! Wszystkie maleńkie, nieznane kiedykolwiek, kadzielniczki kwiatowe teraz odprawiają nabożeństwo wschodzącemu słońcu i tchną swoje kwietne duszki wgórę, ku jaśniejącemu, błękitniącemu, rumieniącemu się, zagwiałemu wszyst-

kiemi kolorami niebu. Proszę uciekać od klombów, bo się chce zerwać wszystkie kwiaty naraz i umrzeć w kwiatach, ulotnić się roztopioną w zachwycie duszą, jak one! Proszę zato przedziutko przelecieć przez ogród i wybiec w pole między zboża. A dopiero tam, na szerokim polu, w nieogarnionej powodzi sennych zbóż, stanąć, roztworzyć ramiona, roztworzyć duszę—i wechnąć cud porannego objawienia!

Zboże nietylko pachnie: zboże—upaja! Jest to mocny, skoncentrowany, potężnie szumiący sokami ziemi alkohol, dystylowany przedziwnym filtrem roli! Jest zawrotny i odżywczy, jak wino. Nie można go się oddyszeć, nie można go wchłonąć dość! Kłosa wiążą nieruchome, ciężkie ziarnem, perliscie rosą. Małeńkie bławatki błękitnieją w głębi, jak senne dziecinne oczka. Olbrzymie pole dyszy i śpi z początku do końca. Łąka za nim pachnie i śpi. Rzeka milczy i śpi. Niebo...

Nie! Niebo się budzi! Na niebie panuje milczące ożywienie, jakiś wzmożony ruch, jakieś gorączkowe przygotowania. Obłoczki, zarumienione z przejęcia, śpieszą się strasznie, żeby zdążyć na swoje miejsca! A na dalekim skraju ziemi, nad jeziorem, zapala się zorza. Rośnie, wzmaga się, ogarnia pół nieba, staje się bardziej złota, bardziej wezbrana płomieniem, bardziej wspaniała purpurą! Na niebie gra milczący hejnał barw na czyjeś wielkie spotkanie, na czyjaś złota chwaleb! Moment jest wielki... nie trzeba mówić nic! Ciemne trzciny pod mgłami pokłękaly, jak zakonnice pod welonem, trzymając ślepe świece kit. Chmurki stanęły w miejscu. Wiew przypadł czołem do ziemi. Najcichsze dzwonienie brzmi w powietrzu. I oto gdzieś z poza ziemi, z cichej toni jeziora—cisza wynosi na rozłożonych skrzydłach na niebo wspaniałą, złotą monstrancję słońca.

I nagle wszystko zaczyna żyć! Kity trzciny zapalają się złotem blaskami. Mgła unosi się w górę i upływa ku błękitowi. Rzeka zaczyna się wysrebrzać pod tumanami drżącymi łuszczkami nurtu, któremu pewno jest zimno. Po zbożach przebiega długa, przeciągła fala przebudzenia. A z lasu, budząc uśpione ptasie bractwo, rozlega się i leci przeglądające się w rosie, dzwonne, czyste, donośne:

— Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Poczem natychmiast przekorny chór wróbli, czyżyków, wilg i całego leśnego ludku usiłuje ją zagłuszyć terkotliwym, rozgłośnyny szczebiotem:

— Nie ty pierwsza, nie ty pierwsza! I my, i my i my, i my!

I za chwilę nic na ziemi już nie może spać: wszystko jest świegotem, szumami, zapachami, kroplami spadających ros, zapalającymi się szczytami drzew, radosną fujarką na łąkach, bekami i porykiem wyganiających stad, skrzypieniem żorawi u studzien, pokrzykami pastuszków, klekotem bociana, pianiem kogutów—ziemia się obudziła i świat zaczyna żyć!

Wtedy może pani — zabawne to, ale tak jest! wtedy może pani pójść z powrotem spać! Nie pójść—pobiec przedziutko! Wszystko to trwa bardzo krótko: może kwadrans, może mniej! I trzeba, żeby pani widziała, jak to się odbywa! Nie będę mówiła, dlaczego? Jak już powiedziałam — dla zdrowia ciała i dla zdrowia ducha. Człowiek po takim kwadransie czuje się o całe długie godziny silniejszy, sprężysty, bardziej rześki i bardziej radosny. Tak jest! Bardziej radosny! Natura ma swoje tajemnice. Jednym z jej sekretów jest między innymi, aby człowiek żył w zgodzie z jej wielkim i mądrym życiem: budził się, kiedy ona się budzi, i spoczywał, kiedy i ziemię ogarnia sen. Jesteśmy niemowlęciem w łonie świata i życiu jego musimy współżyć, ażeby być w harmonii! Ta harmonia właśnie sprowadza zadowolenie na duszę, a rześkość na ciało.

Sprawia, że praca potem odrabia się szczególnie lekko, usposobienie jest szczególnie łaskawe na błędy i niedobory otoczenia, a w sercu zostaje aż do wieczora coś, jak kawałeczek błękitu. I cóż dziwnego, jeśli wtedy jaśniej czujemy, że kryje się za nim Bóg?

A wieczorem...

A wieczorem proszę sobie zrobić godzinę samotnego spaceru o zachodzie. Kiedy słońce, sędziwe przeżytym dniem i utrudzone wielką zbożną pracą, błogosławi ziemię na sen. Proszę posłuchać, co szepcą, układając główki do snu, kłosa. Jak wypoczywają w ostatnich promieniach łąki. Jak modlą się drzewa ostatnim, najcichszym pacierzem. Proszę coś z tego wszystkiego w siebie wziąć: — i spokoju, i majestatu, i błogosławionej ciszy. Aż powoli z przeżywania stanów mądrej natury, obudzi się w sercu szczególny ład, niebywała dotąd harmonia, niedoświadczane przedtem uspokojenie—cudowne leki, tajone przez matkę-przyrodę dla dzieci, które chcą i umieją żyć w myśl jej kreślonych gwiazdami, przykazań.



ANNA LUDWIKA CZERNY

WIEKI WIDOME I WIEKI NIEWIDOME

Srebrne drogi na morze zapraszają gestem,
Ruchem nieustających przygarniają chęłbań,
Wydmę nabrzeżne, w miesiąc patrzące z podełba,
Zrzucają mię na piaski z krzemiennym szelestem.

Wyrzekły się stóp moich oniemiałe lądy
I skąły, od wspomnienia szerniałe muszelek,
Które żyją gromadnie w rozpadlin kőściele,
Przeżerające granit, śmiertelnych mchów trądy.

Znużyły nam źrenice niewidome wieki
Przez szarość bez rozbłyśków, jałowość zaprzaństwa —
Rzeczywistość z dniem każdym jest pełniejsza kłamstwa,
Gęsta mgławica złudy, gniotąca powieki.

Srebrne drogi na morze zapraszają poza
Cieleśność, w wyzwolenie, w widność nieznanego,
Które wieści nieść każe fal białym rozbiegom,
Że się już sieroctw naszych wyczerpała doza,

Że jeno chcieć od piasków oderwać raz stopy
I wylotami ramion objąć przestrzeń pustki,
By z oczu spadły jawy nieprzezrocze łuski
I by nazawsze kłamne zwały się stropy.

Srebrne drogi na morze od lądów odchodzą,
W nieskończonych przebudzeń zapraszają kółys.
Promieniowaniem z ziemi wstaje biały połysk,
Gdzie się wieki widome z widnokręgów rodzą.



BRONISŁAWA OSTROWSKA

W STAREM LUSTRZE

AKWARIUM

Przed wyjazdem na długie wakacje letnie oddawało się wizyty ciotkom. Mijały jedne po drugich wnętrza mieszkań, pachnących najróżnorodniejszymi woniami: kwiatów, kuchni, toalety, apteki. Białe firanki, doniczki roślin kwitnących, stoły, zakryte ceratą i zastawione grubym szkłem, albo znowu — chińską porcelaną na cienkim obrusie. I sylwety kobiece, czarno ubrane, w gospodarskich czepeczkach i w falbankach staropanińskich, i w kwiecistych, pachnących szlafroczkach. Kolekcja była duża, barwna i zawsze gwarma, gadatliwa, pieszcząca, pytająca i opowiadająca krzykliwie o wszystkim i o niczym zarazem, Z głową rozkołysaną, trochę senną, wychodziło się z ostatnich drzwi i z radością przyjmowało się zapowiedź matki, że teraz zostają tylko odwiedziny u cioci Pfeifrowej. Wówczas siadało się do dorożki i zajeżdżało w cichą dzielnicę miasta, przed biały, piętrowy dom przy ulicy Szkolnej. Otwierano nam na piętrze duże drzwi i wpuszczano do niewielkiego, bardzo słonecznego saloniku. Było dużo zielonych paproci i przed balkonem kryształowe akwarjum. Po chwili z głębi domu wychodziła ciocia z towarzyszką i ścisnęła nas w milczeniu, pokazując ruchami rąk szybkimi i wymownymi, jak rada jest z naszego przybycia.

Żywe, czarne oczy patrzyły radośnie i rozumnie z pod obramowanego siwymi pasmami czoła. Usta były nieruchome i uśmiechnięte. Matka zaczynała ożywioną rozmowę przez towarzyszkę, która była pośrednikiem i tłumaczem pomiędzy ciotką, a resztą świata, od którego dzielił ją mur podwójny niemoty i głuchoty. Ja patrzyłam na ciotkę, która też nie spuszczała ze mnie rozradowanych oczu. W pewnej chwili wstała, przyciągnęła mnie do siebie ramieniem i, jakgdyby chcąc mnie czemś obdarzyć, zaprowadziła przed drzwi otwartego balkonu ku akwarjum. Słońce przeświecało kryształową wodę i kulistą ścianę błyszczącego szkła. Złote rybki, o ruchomych, czerwonych skrzelach, migały ruchliwie. Wszystko lśniło, jak wielki, czarodziejski klejnot, w którym jest zaklęte milczenie. Ciotka, cicho wskazując, wyciągnęła rękę. Czarne jej oczy błyszczały rozczeniem. Woda uśmiechała się kuliście ku ścianom z kryształu. Złote strzałki rybek wypuskiwały radośnie. Słońce łamało się w tęczę u zgięcia otworu kuli. Niesłychana, skupiona radość cisy promieniowała ku mnie, prawie że dotykalna. Stałam, objęta ciepłym ramieniem ciotki, tamując oddech, który wydawał mi się głośnym. Przez liście koronkowej paproci w wielkim wazonie siało się słońce i prześwieślało koralowym obramieniem stulone, długie palce ręki, wymowniejszej w ru-

chu, niż usta. Tajemnica cudowna, z głuchotą i niemotą na straży, odsłaniała się zwolna, zdumiona swym obcym, niespodzianem szczęściem. Granica między nią, a resztą salonu, chybotwała się migotliwie, jak kryształowa ściana akwarjum w słońcu. Chwytałam ją jakimś nowym, nieznanym zmysłem, nieuchwytną, a istotniejszą, niżeli wszystko inne, mię otaczające. Zdawało się, że już, już, a zrozumie ją i uchwycę. W pewnej chwili zabrzęczała taca, pełna szklanych naczyń do podwieczorku. Dzwonienie srebrnych łyżeczek o szklanki było ostre, jak cięcie nożyczek. Wezwanie nas do stołu zabolowało wyraźnie, płosząc czający się w akwarjum cud.

Tajemnica głuchoniemej, zaczarowana w migotliwej kuli milczącego klejnotu, oddaliła się od spojrzenia, zwróconego ku dzwicznemu stołowi. Podeszliśmy do podwieczorku. I tam były kryształy, przeświecone słońcem, pełne konfitur i owoców. Na szklanej tafli stołu leżały koronkowe serwetki, jak listki białych paproci. A smak przejrzystych malin na szklanej miseczce miał swoistą słodycz łagodnej, słonecznej cisy. Ale tajemnica pierzchała od wymawianych słów. Dzwiczny głos i śmiech mojej matki, szelest jedwabnej jej sukni i chrzęst dżetowej zarzutki, opływającej ją ciągłą falą żywego dźwięku, zaczął poraż pierwszy w życiu dolegać mi, jak szorstka rękawiczka. Wymawianie każdego słowa odpowiedzi na szeregi zadawanych przez towarzyszkę ciotki pytań było trudne i męczące, jak łamanie szkła. Po podwieczorku wstałam, by podejść znowu do zaklętego w akwarjum skarbu. Ale matka zaczęła się zbierać do odejścia i, wiążąc sznury czarnych, brzęczących paciorków zarzutki, zbliżyła się wraz z nami do akwarjum, chwalać piękność pływających w niem rybek. Jeden z dżetowych chwastów, gdy pochyliła się ku wodzie, zadzwonił głośno o szklany wrąb, napełniając dzwiczną wibracją całą błyszczącą kulę. Zadzwoniła jęklonie granica akwarjum zgwałconą tajemnicą cisy. Zaczęliśmy się żegnać. W ściśniętem gardle dławiły mię łzy.

„Powiedzcie dowidzenia cioci, bo zobaczysz ją dopiero na jesień!” — powiedziała matka, przytulając swą złotą głowę pod czarnymi piórami do lekkodrżących, niemych warg głuchoniemej.

A ciotka miękko odgarnęła mi włosy i kiedy, całując ją w rękę, poczułam już wyraźnie podchodzące do oczu łzy, popatrzyła na mnie z uśmiechem i położyła sobie na ustach, niby porozumiewawczy znak tajemniczego zaklęcia, smukły, biały palec z jedną łą brylantowego pierścionka.

KRYSZTAŁOWA KULA

— Poco się, do pioruna, żeniłem, poco?!

Ta myśl była czarną chmurą w słonecznej radości jego obecnego bytowania; wracała w wolnych chwilach, ssła, zmuszając do pamiętania o sobie; doszło do tego, że Lister zaczął rozmyślać o rozwodzie. Lecz teraz dopiero, w świetle procesu rozwodowego, stanął oko w oko z beznadziejnością swego losu.

— Do rozwodu musi być powód,—myślał gorątkowo,—musi być wina jednej, lub obu stron. Gdzież tkwi wina Leny? czy mogę z czystym sumieniem oskarżyć ją o cośkolwiek? czy była złą żoną, awanturnicą, czy zdradzała, czy nie interesowała się domem, czy nie dbała o mnie, jak o drogiego jedynaka?! Otóż to: całą jej winą jest, że mnie kocha zbyt silnie, że cała jest gorejącym ołtarzem uczucia i uwielbienia, że mnie przecenia, zawstydzająco przesadza cały stosunek na moją korzyść!—Przerzucał jej listy, pośpiesznie czytane, i wszędzie, z każdej strony, ścigała go jej miłość.

„Listerze, mój drogi! Twój nagły wyjazd zaskoczył mnie—nie mogę się opamiętać! wieczory spędzam w twoim pokoju, zapalam światła, wszystkie, jak lubisz, i tak długo z uporem wpatruję się w fotel przed biurkiem, że Cię prawie materializuję. Nie śmiej się, kochany! Widzę twą ciemną sylwetkę, twe ramiona, twą głowę, schyloną nad stołem..., rodzi się we mnie krzyk tęsknoty! Listerze! teraz dopiero wiem, że Cię kocham, jedyny! jesteś taki niedobry, tak brutalnie lakoniczny w twoich listach! Zbieram je ze złości... są takie jednakowe i surowe... ale pomyśl: zdaje mi się, że właśnie za to Cię kocham. W tych kartkach jesteś sam. Wyobrażam sobie, że Ci musi być smutno, że śpieszysz się do twej małej, kochającej żony, tak małej, tak głupiej, że można jej nie spostrzec z wysokości twych oczu i szczytów twoich myśli. Wyobraż sobie, że przeczytałam twój „System XX wieku”; szukam w encyklopedji nazwisk, w słownikach—słów, zadaję śmieszne pytania. Wczoraj pojechałam do ojca i poważnie rozpytywałam o wiele terminów. Z początku starszynek tłumaczył cierpliwie, a później zapytał surowo: — Dlaczego, właściwie, nie pytasz męża? Stoisz, mała, przed krynica, a czerpiesz ze starej, zamulonej studni. Lister—to krynica, ja—studnia. Cemu się do mnie zwracasz?! — Wywinełam się chytrze (wy to nazywacie dyplomacją) — Kiedy Listera nie ma, tatuńciu! a ja właśnie teraz muszę wiedzieć, bo widzisz, Lister w „Systemie” operuje wciąż... — Stary machnął na mnie ręką i zaniósł się od śmiechu: — Masz ci los! poco ty czytasz to dzieło? w głowie ci

się przewraca! na to trzeba wyrobienia, kategorii myślowych. Gdzie ci do tego! to góra wiedzy i doświadczenia! Wielu Listerów nie ma. Co za ujęcie! co za genialny rzut oka na stulecie! Zapamiętaj sobie, kobieto, że choćby mąż twój więcej nic nie napisał, książka ta wystarczyłaby za świadectwo doskonałości. Pomyśl o jego wspaniałych polemikach, o cyklu artykułów: „Precz z wojną—niech żyje wojna!” Pomyśl o kapitalnej rozprawie: „Si vis pacem para bellum”... Słuchałam ojca, zgnębiona niemal... i wszystko ty, mój Listerze! Po powrocie wyszukałam pisma i rozprawę. Długo siedziałam nad temi książkami, nie otwierając ich wcale. Postanowiłam je jednak przeczytać i zrozumieć. Może doprawdy, gdy wrócisz, zechcesz mi to i owo wytłumaczyć? będę pilną uczennicą, będę pilną, a teraz proszę nieśmiało, w pokorze: wracaj, kochany, wracaj!! Lenie smutno i źle bez ciebie!”

Gdy Lister przerzucał te listy, był przedewszystkiem zły na teścia, że do reszty przewraca Lenie w głowie, ale teraz dostrzegł w nich tysiączny dowód miłosnej egzaltacji. Czy można argumentować potrzebę rozwodu nadmierną miłością kobiety?!—Samo przypuszczenie było śmieszne, a przecież Lister obawiał się tylko uczucia, tonął w niem, porywało go i od razu tracił grunt pod stopami. Wiedział, że powrót wciągnie go znowu w odmet uniesień Leny, i nowa zamierzona praca o Lidze Narodów zostanie tylko tytułem w tece jego zamiarów. Czuł, że trzeba wracać, że ucieczka nie rozwiązała niczego, owszem: wyolbrzymiła tęsknotę żony; że sam w miarę dni, w miarę odrobienia zaległości, myśli często i częściej, niż uważał za stosowne, o Lenie. Zupełnie niepotrzebnie porównywał ją z kobietami przy stołach wielkiej restauracji, gdzie jadał: z przyjemnością stwierdzał, że mu imponowała sposobem ubierania się i godnością ruchów. Stwierdzał, że z pośród wszystkich widzianych i znanych ona jedyna podoba mu się, że gdyby się miał żenić poraz drugi, znowu wybrałby Lenę. Tej nocy Lister nie mógł długo zasnąć i ze zdumieniem wysnuwał postanowienie powrotu do domu.

Ale upłynęło jeszcze dwa tygodnie; pięćdziesiąt kartek zapisanych wstępnej rozprawy o Lidze Narodów cieszyło dumne oczy Listera, a w głębi czaił się niepokój. Od tygodnia nie otrzymał listu od Leny; uświadomił sobie, że na listy czekał i czytał je ciekawie, chociaż wciąż były jednakie, na jedną nutę kochania i tęsknoty nastawione.

Gdy na pociąg odnosił dwie, codzienne koperty, pchnięty impulsem, jak później twierdził — dziwnem

przecuciem—kupił bilet i zajął miejsce w przedziale. O świcie, zmęczony i blady, oddawał palto pokojowej, ogłupiałej ze zdumienia:

— Pan już! O jakże to się składa...

Lister ze zdumieniem zauważył obok wojskowego płaszcza teścia, czyjeś ciemne palto.

— Czy Pan starszy tutaj? — Nie słuchał, co mówiła. Ogromne, zwierzęce przerażenie uderzyło weń znienacka, niby śmiertelne uderzenie w dołek. Rzucił się z impetem na drzwi i omal nie przewrócił doktora i teścia:

— Stój, warjacie!! Wiedziałem, że wrócisz! — zacierał ręce stary. — Jestem dziadkiem, jestem dziadkiem, a ty — ojcem, Listerze!! —

— Żona pańska powiła syna: chłop, jak dąb! winszuję Panu, Redaktorze! — Stary i doktor zawisli na rękach Listera, potrząsając je ze śmiechem i przygadując niezrozumiałe śmieszności.

Lister stał, jak manekin. Ocknął się przecież i, pochwyciwszy, dwóch starców pod ramiona, zawirował z nimi w szalonym, dzikim tańcu. Trzej w podskokach i śmiesznych podrygach, niby rozbawieni chłopcy, przysunęli się do drzwi sypialni.

— Czy można? — prosiły oczy Listera.

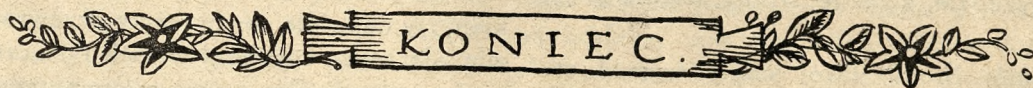
— Można, mój chłopcze, — wyszczał doktor — Żona i mały czują się doskonale!

Lister uchylił drzwi i wsunął się na palcach do pokoju. Serce stukało w nim tak głośno, że pokój wypełnił się tętentem i stukiem. Na krześle drzemała piastunka. W różowej poświacie brzasku, obok bladej, przezroczystej i nowej zupełnie Leny, leżało małe, bezkształtne zawiniątko — syn. Lena nie spała; uśmiechnęła się cicho i łagodnie do męża i, kładąc palec na ustach, wskazała na dziecko. Lister drżącymi rękami odgarniał białe zasłony z twarzyczki małej, bezkształtnej, czerwonej. Zapragnął naraz krzyknąć z radości, lecz wtulił tylko twarz w przyjemne ciepło poduszek. Spadła zeń w tej chwili łuska problemów i zagadnień.

— Oto sens małżeństwa był taki prosty i jasny. Byłem głupcem, głupcem, kochana!! — Swobodną ręką pochwycił słabą dłoń żony. Oto byli znów ze sobą.

— Jest nas teraz troje, — powiedziała cichutko, — troje! —

Piastunka podniosła zasłony. Potoki złotego, słonecznego pyłu wdarły się do pokoju, wyłaczając ciemną, twardą postać Listera, zapalając mu we włosach iskry jasności. Czarny łabędź był znowu jasnym królewiczem,



EWA SZELBURG

PSZCZOŁY

Kaliniecki nie miał zamiaru składać wizyty sąsiadom w Górze.

Prostu, roztrzęsiony trzydniową drogą, wyszedł z domu po nieprzespanej nocy i poszedł prosto przed siebie w ożywczą, rzeźką wilgoć ranka.

Zrazu szedł pustymi jeszcze ścieżkami ogrodu, potem sokorową aleją, wreszcie brzeźniakiem i drogą obok torfowisk.

Trzy lata nie był w tych stronach.

Przez trzy lata tyle rzeczy stało się w jego życiu a tu wszystko, jak przedtem.

Aleja sokorowa pełna tych samych cichych, spokojnie rozesłanych cieni; brzozy w brzeźniaku tak samo jasne; nawet na drodze koło torfowisk te same rude-zielone oczy mokradła, w ten sam sposób cieniami rżesami wiklin przesłonięte.

...Trzy lata...

...Na początku pierwszego roku, przez wiatr z szerokiego świata przywiane, trzepotliwe, błyskotliwe Szczęściel —

Spadło mu samo w ramiona i porwało go za sobą, że zapomniał o wszystkim!... ach! i o czymś więcej jeszcze, niż wszystko: o małym słowie, złożonym w tym właśnie brzeźniaku w drżące ręce dziewczyny, która nie miała porcelanowych paznokietków i warg szkarłatnych, pachnących perfumą „mousse d'ambre.”

To się stało na początku pierwszego roku, a już w połowie roku drugiego... trzepotliwe szczęście porfrunęło ku innym ramionom...

Kalinowski przystanął gwałtownie i zatrząsł barami, jak niedźwiedź, trafiony oszczepem między żebra! Ale na krwawe płaty, latające przed oczami, położyła się nagle łagodnym cieniem żałobna opaska, przyszyta do rękawa... czyjs szept, tuż nad uchem (a może w głębi serca?) „nie należy źle wspominać umarłych... „nie należy źle wspominać umarłych...”

I długie westchnienie ulgi, wytchnięte ze ściśniętej piersi.

— Nnno... ta-ak... skończyło się...

Poprawił machinalnie czarną opaskę na rękawie i poszedł dalej.

Nie wiedział, jak i kiedy znalazł się na dziedzińcu w Górze.

Nogi bezwiednie stąpały znajomym obrzeżkiem trawnika, i ręka sama ujęła za klamkę drzwi frontowych.

...Za szybą twarz pomarszczona w gładziutkim czepcu i głos, zachłyśnięty radosnem zdumieniem:

— Jezus Ty mój i Maryja! panicz... pan Stanisław!

I pani Kuderkiewiczowa jęła z suchych warg wysypywać prędziutko drobnuteńkie słowa, szeleszczące, jak makowe ziarenka.

Zrozumiał tylko, że „starsza pani jeszcze wczasuje, a panienska Elżbietka jest u pszczoł w ogrodzie.”

Nie zdając sobie już zupełnie sprawy z tego, co robi? co powie? jak przed nią stanie? szedł gwałtownymi, niepowstrzymanymi krokami naprzelaj przez trawniki, rozświetlone kulami „męskiej stałości.”

Potrącał ich srebrne łodygi w prędkim chodzie, i mały, przyziemny obłoczek bezsilnych puszków biegł razem z nim ku pasiece.

W głębi sadu, za niziutkim żywopłotem z młodych porzeczek, stały trójrzędem niebieskie ule.

W tej południowej ciszy pasieka nakryta była potrójnym dachem: błękitną, wysoką kopułą nieba, rozłożystą zieloną strzechą gałęzi jabłonnych i złocistym pułapem z tysiącnych lotów pszczelich, skupiających się w drgające rozety nad każdym ulem.

Stanisław położył ciężkie ręce na wątych gałązkach porzeczek, obarczonych kwaśną czerwienią i patrzył:

W samym środku pasieki, tam, gdzie najzajadlej kłębi się pracowity brzęk skrzydlatego mrowia, wysnuł się nagle odurzający dym z próchna, tlejącego w żelaznym podkurzaczu, opartym o bok jednego z uli.

Uł był otwarty, a nad jego miodnem wnętrzem, ziejącem jadowitymi pszczołami, pochylała się właśnie postać kobieca w płóciennej sukni.

Głowę jej osłaniał tylko słomkowy kapelusz, jasny i prosty, jak krąg słońca, i gaza, spływająca z jego brzegów, jak świetlisty obłoczek, a związana w lekki węzeł na karku.

Elżbieta.

Zawołał wtedy na nią głosem cichym, a tak w mocy swej doniosłym, że obejrzała się natychmiast i wyprostowała.

Zawołał na nią głosem jeszcze cichszym, a ona poczęła iść ku niemu.

Szła równym, spokojnym krokiem w kręgu jasnego kapelusza, jak w łagodnem słońcu, a przez świetlistą gazę patrzyły na niego jej oczy, jak przez obeschnięte nagle lzy.

Dokoła jej jasnej głowy, szyi, ramion i całej spokojnej postaci latały z zajadłym brzękiem drobne, ciemne, jadowite pszczoły...

Nie pomyślał słowami, ale wprost zobaczył:

To są te wszystkie zajadłe, ciemne troski, które tu przez trzy lata...

A ona stanęła już przy samym żywopłocie z porzeczek.

Ponad kwaśnemi, czerwonymi jagodami wyciągnął do niej obie ręce.

Uśmiechnęła się wszystko przebaczącym, wszystko rozumiejącym uśmiechem nie dziewczyny już, ale... kobiety.

Niosła oburącz złoty, wonny plaster.

Z rozłamanej młodziutkiej woszczyzny, o niepokalanej barwie, sączyły się ciężkie słodyczą i złotem krople miodu.

Podawała mu te ręce, obciążone miodnym darem, a on do tego daru przywarł wyschłemi, spragnionemi ustami.

Kiedy wreszcie oderwał nasycone słodyczą wargi — zobaczył, iż dłonie dziewczyny, trzymające plaster miodu, pokryte są małemi, bolesnemi żądlami pszczoł.

ZGON MRS. PANKHURST

Dnia 14 czerwca zmarła w Londynie, w 68 roku życia, pani Emmelina Pankhurst.

Żyje dotychczas jeszcze parę starszych od niej przodowniczek ruchu kobiecego i sprawy równouprawnienia politycznego kobiet, Mrs. Pankhurst nie była bowiem najstarszą jego pionierką, ale była zato bezwzględnie najgłośniejszą.

Dawne to czasy! A dziś wydają się nam podwójnie dawne i dalekie. Wielka wojna przyspieszyła

bieg dziejów i rzuciła olbrzymią przestrzeń historii w przedział czasu względnie krótki. To też patrzymy dziś na wszystkie przed nią zaszłe wydarzenia, wszystkie roznamietniające wówczas społeczeństwa spory i prądy z oddali, jakby na zeszlowieczne czasy.

Z drugiej strony, sprawa kobieca poszła, zwłaszcza w niektórych krajach, a między niemi i w Polsce, tak olbrzymiemi krokami, że i z tej perspektywy przedwojenną działalność sufrażystek i metody ich

agitacji inaczej dziś sądzić musimy. Zapewne, i dziś trudno specjalnie chwalić propagandę, uciekającą się do gwałtów, zwróconych nie przeciwko przemocy obcej, lecz przeciw prawom własnego kraju, które to metody propagowały sufrażystki, a głównie ich przewodniczka; jednakże w świetle obecnego stanowiska kobiet, ich siły i ich działalności, które to czynniki tłumili wówczas z zacięłością rząd angielski—napewno mniej dziwną dziś, niż wówczas, wydać nam się musi taktyka sufrażystek, prowadzących walkę z zafanowaniem i kodeksową martwością swego ustawodawstwa.

Mrs. Pankhurst pojmowała tę walkę naserjo. Uważała, że kobiety mają prawo występować tak samo rewolucyjnie w obronie swych praw, jak każdy odłam polityczny i że rewolucja kobieca jest tak samo dobra, jak każda inna. W walce tej nie oszczędzała nikogo, nie oszczędzała też i siebie. Była 15 razy aresztowana i 15 razy odbyła krótszą, lub dłuższą karę więzienną. Gromy padały wówczas na głowy sufrażystek, gromy, nierzadko rzucane przez... same kobiety. W historii tego ruchu rząd angielski i policja nie grały pięknej roli. Na porządku dziennym były formalne prześladowania, brutalne obchodzenie się z aresztowanymi, odmawianie więzionym wszelkich ulg, przyznawanych zawsze przestępcom politycznym.

To postępowanie władz doprowadzało do gwałtownej reakcji sufrażystek, do głodówek więziennych itp. objawów.

A jakież były przestępstwa tych bezlitośnie ściganych i więzionych?

Sufrażystki, ze swą przewodniczką Mrs. Pankhurst na czele, zapowiadały wprawdzie walkę à outrance i obiecywały nawet... wysadzać w powietrze gmachy rządowe (zresztą wtedy, gdy będą puste), ale w rezultacie niczego nie wysadziły, a cała ich zbrodnia polegała na demonstracjach ulicznych i kilkakrotnym wtargnięciu do parlamentu. Do tego samego parlamentu, w którym wówczas już pracowały, jak juczne konie. Nie było, bowiem, polityka, posła, ministra, któryby nie posiłkował się pomocą kobiety-sekretarki. Cytowano liczne wypadki, w których mowy, wygłaszane przez posłów w Izbie, układały im też właśnie sekretarki! Podczas wyborów podpora każdego stronnictwa były kobiety, niezmordowane i niezastąpione w agitacji wyborczej. Przyjmowano wszędzie ich usługi, aby potem z całą „angielską” zimną flegmą odmówić im wszelkich praw. Trzeba przyznać, że mogły stracić cierpliwość!

Mrs. Pankhurst była jedną z najwykształceńszych kobiet swego czasu. Wychowana w Paryżu, wspólnie z córką znanego polityka i działacza socjalistycznego francuskiego Henryka Rochefort, panna Emmelina Goulden zaślubiła w r. 1879 dr. Pankhursta, który, zamieszkawszy w Londynie, był jednym z członków-założycieli pierwszego stowarzyszenia równouprawnienia, zainicjowanego przez znakomitego pisarza i socjologa Johna Stuarta Milla. Mrs. Pankhurst została więc wprowadzona na drogę walki o prawa kobiet przez własnego męża!

Po jego śmierci, w r. 1908, poświęciła się w zupełności ruchowi kobiecemu, w czym od najmłodszych swych lat dopomagały jej obie córki—Cristabella i Estella—znosząc łącznie z matką wszystkie areszty i prześladowania.

Wreszcie, jak zwykle się dzieje, pomimo ludzkich, godnych lepszej sprawy, wysiłków stłumienia prawdy życiowej — prawda zatriumfowała! Przyszła wojna. Nie można było odsuwać kobiet od tych, czy owych prac, bo rąk wszędzie brakło. A w tych latach próby, a nierzadko i klęski, te groźne, znienawidzone i wyszydzane sufrażystki wykazały tyle zapału i poświęcenia, taki hart i taką siłę ducha, objęły tak wszystkie dziedziny życia społecznego, od spraw gospodarczych do najszczytniejszych zadań obrony godności i ducha narodowego, że—przełamały nawet kamienny upór i średniowieczne uprzedzenia swego prawodawstwa. Dnia 6 lutego 1918 r. parlament uchwalił bill o prawach wyborczych kobiet, „wzamian za wysokie zasługi, położone przez angielski w czasie wojny”.

Mrs. Pankhurst nie spoczęła jednak i wówczas na laurach. Do ostatnich prawie dni życia pracowała, stojąc na czele organizacji kobiecych angielskich i międzynarodowych. Na krótki czas przed śmiercią doczekała jeszcze jednego triumfu. Mianowicie—rozszerzenia praw, przyznanych w 1918 r. Wtedy, bowiem, cenzus wyborczy kobiet ograniczono do lat 30-u. Kobiety zostały więc w dalszym ciągu „obywatelkami drugiej klasy” wobec mężczyzn, posiadających prawo czynne od 21 roku, bierne—od 1.25-u. Walka o to zrównanie cenzusu wieku trwała znów lat 10! Konserwatywni członkowie Izby Gmin piorunowali na dopominające się niemożliwych rzeczy „podlotki”! Tak nazywano kobiety od 21 do 30 lat. Nic nie pomogło! Przemężne prawo życia znów zwyciężyło. W maju r. b. parlament uznał, że kobieta dwudziestojedno-letnia nie jest już podlotkiem, i przyznał jej cenzus wyborczy.

Z tem zwycięstwem ukochanej sprawy odeszła ze świata mrs. Emmelina Pankhurst.

N. J.





„Rzymianie wschodu” — *Juljusz Kaden Bandrowski*. Warszawa. Sekcja Bibliofilów Koła Polonistów S. U. W. 1928 r.

Propaganda należy do jednej z najbardziej śliskich dróg reprezentacji państwowej. Wkracza ona w tę dziedzinę reklamy, o której powodzeniu decyduje nie biurokratyczna rutyna i mechanizacja organów wykonawczych, ale intuicja artysty, trafiająca na właściwszą drogę do mózgów i serc.

„Rzymianie wschodu”—odczyt *Juljusza Kaden Bandrowskiego*, wygłoszony w Berlinie na zaproszenie sekcji P. E. N. Klubu—jest klasycznym wzorem najszlachetniejszego typu propagandy. Przed wygłoszeniem odczytu prelegent musi rozważyć i uzgodnić trzy momenty: kto mówi, o czym mówi i do kogo mówi? Tutaj znakomity polski prozaik mówi o współczesnej literaturze polskiej do elity twórczej inteligencji Niemiec, tego narodu myślicieli. Zadanie tem trudniejsze, że w ideowej wędrówce po wyżynach ducha trzeba było ominąć wszystkie wilcze doły, jakie bezstronnemu sędziemu zjawisk wykopał na drodze odwieczny układ politycznych stosunków. Trzeba było iść z uśmiechem nieklamanej pogody i z przyjaźnie wyciągniętą dłońią tam, gdzie najczęściej wzajemnie szczerzono na siebie kły i wystawiano pazury.

Niewiadomo, jakaby drogę obrała tu sobie urzędowa propaganda. Możeby zadziwiła świat wymysłnemi salto-mortale, a może połamałaby sobie ręce i nogi. Kaden, nieomylnym instynktem artysty wiedziony, ominął i jedno i drugie niebezpieczeństwo. Podszedł do tematu po prostej linii entuzjazmu. Jest to droga, dostępna wszystkim ludziom szlachetnym, bez względu na rasę i przynależność państwową.

Kaden w założeniu swego odczytu przyjmuje, że mówi do ludzi szlachetnych. Dlatego, sięgając do podłoża bytu polskiego, wydobywa zeń na światło dzienne dwa metale, stanowiące istotne bogactwo narodu: heroizm i ofiarę. Ukaże cudzoziemcowi polską kulturę, wzrastającą „na rubieży dwóch światów w heroizmie ofiary”.

Krótkie sylwetki najznakomitszych naszych pisarzy współczesnych uderzają trafnością i umiejętnością zużytkowania tkwiącego w nich materiału propagandowego. Każda z nich pod pozorną szkicowością ukrywa mistrzowskie posunięcie polityczne. Trzeba być znakomitym dialektykiem, aby prawdę artystyczną wpręgać w służbę dyplomacji i odwrotnie, wszystko w celu uzasadnienia swej tezy.

Cel jest tu jednak tak piękny, że uświęca środki. Nie mam możności zajrzeć pod czaszki publiczności niemieckiej, która wysłuchała odczytu Kadena, ale, wrażliwością polskiego czytelnika mierząc rezultat, przypuszczam, że jest świetny.

„Rzymianie wschodu”—książeczka, przesłicznie wydana pod względem typograficznym, powinna zająć honorowe miejsce zarówno w bibliotece słuchacza Szkoły Nauk Politycznych, jak i doświadczonego dyplomaty, który dowie się z niej, jak należy robić propagandę.

S. P. O.

M. Czerkawska. „Zielony Cień”—Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, r. 1928. Str. 62.

Schowałam się za drzewa,
Schowałam się za pnie,
I niema mnie...

Jest tylko cień kaliny,
Jest sosna, która schnie,
Jest płotek z krzywą wierzbą,
A niema mnie...

Jest żar miłości, którym
Wszystko, co żywe, tchnie —
Jest miłość wszechobecna,
A niema mnie...

W tym wierszu zamknięte jest wyznanie prze-czulonej duszy kobiecej, która przywykła wypowiadać się pod maską. Nie znaczy to, żeby nie miała odwagi swych uczuć. Ale tylko kobieta wie, jak boli szorstkie, a choćby tylko obojętne dotknięcie, jak łatwo obca ręka ściera puch ze skrzydeł motyli! Więc lepiej ukryć się za pień drzewa i po dziecinnemu zabawiać się w chowanego z losem.—Niema mnie!—jest tylko miłość wszechobecna, ogarniająca czułem ramieniem grusze polne, rozkwitające czeremchy, graby krzepkie, smętne jesiony, uschłe sosny...

Miłość stwarza fortele, któremi stara się uwikłać i splatać ze sobą przedmiot swego ukochania. Takim miłosnym fortem jest u Czerkawskiej personifikacja drzew. Nie może sama, jak Dafnis, stać się wawry-nem, nie może wrosnąć w korę i rdzeń swoich sióstr zielonych, ale może im duszę tchnąć człowieczą i zespolić się z niemi nawskroś ludzkim bólem, tęsknotą i troską.

Na wzrost młodych świerczków i sosenek patrzy z macierzyńską czułością; śmierć odwiecznych jodeł i dębów oplakuje łzami córki. Las — to jej najbliższa rodzina, żywoty drzew — to księga święta, którą się czyta z namaszczeniem, z pokorą mniszki. I wpisuje się do tej księgi przesłicznie barwione inicjały poezji. Wszystkie mają świeżość lasu i świeżość czystej duszy

kobiecej; niektóre uderzają świeżością pomysłu i bezpośredniością wyrazu. Artyzm ich jest prosty, nie sili się na nowoczesność. Widać, że poetka uczyła się piękna przede wszystkim od natury. Jeżeli znać na niej pewne wpływy książkowe, to są to drobne przypomnienia Konopnickiej, Zawistowskiej, Młakowiczówny.

Wzory wybrane dobrze, a nie krępujące własnego wlotu obcą manierą. Kultura literacka, pełna wrodzonej dyskrekcji i wykwintu, nie panoszy się, nie nadyma, jak pusty balon. Ani cienia arogancji stylowej, przeciwnie: pewna ujmująca wstydlivość wobec własnej indywidualności, pokrywanie głębi rąbkami poezji.

I ta właśnie dziewiczość duchowa sprawia, że książka, którą, jak każdą książkę rymów, ze zrozumiałą nieufnością bierze się do ręki, już po paru kartach staje się naszym przyjacielem.

Drzewa umieją wiernie przechować tajemnice serca.

S. P. O.

„Sienkiewicz. jako malarz śmierci“ — Dr. Wanda Dobrowolska. Nakładem księgarni Zygmunta Jelenia. Tarnów 1927 r.

Praca o Sienkiewiczu jest nawskroś analityczna i na tem właśnie polega nieporozumienie między autorką, a czytelnikiem. Pani Dobrowolska wogóle nie powinna podejmować się tego rodzaju zadania. Metoda analityczna zupełnie nie odpowiada jej zdolnościom. Samo podejście do tematu jest już tak ciasne i płytkie, że uniemożliwia ujęcie go na jakiegokolwiek szerszej płaszczyźnie. Największym błędem, podług mnie, jest niedostateczne pogłębienie estetyczne autorki, która obok pewnych zagadnień przechodzi poprostu z zamkniętymi oczami. W zbyt krótkiej wzmiance nie mogą wykazać wszystkich braków tej pracy, ani ich uzasadnić. Jeszcze jednym rozpaczliwym wprost zarzutem jest kompletny brak metody. Wyjaśnienie, że praca była pisana dawno, nie może przekonać czytelnika; nie należało wobec tego jej drukować, szczególnie, że po przeczytaniu książki o książkach Zbaraskich, wiemy, czego możemy wymagać od autorki.

Z. M.

REWELACYJNA KSIĄŻKA, KTÓRA POWINNA ZNALEŹ SIĘ W RĘKACH KAŻDEJ KOBIETY

NAKŁADEM TOW. WYD. „BLUSZCZ“ UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA

MARJI GROSSEK-KORYCKIEJ

p. t.

„ŚWIAT KOBIECY“

Cena 7 zł.

z poleconą przesyłką pocztową 7 zł. 90 gr.

316 str. druku.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Tow. Wyd. „Bluszcz“

Kto raz jeden ją przeczyta, ten powróci jeszcze do niej niejednokrotnie, zawiera ona bowiem najgłębsze prawdy z dziedziny zarówno męskiej, jak kobiecej psychiki. Sięga wgłąb najzawilszych konfliktów społeczno-obyczajowych i wskazuje najlepsze, najbardziej niezawodne drogi życiowe. Z cennymi zaletami publicystycznymi łączy świetne opracowanie literackie, czyta się ją jednym tchem, jak najbardziej fascynującą powieść.

Przytoczone poniżej głosy prasy dadzą najlepsze świadectwo głębokiej wartości tego dzieła:

„Nie wiem, czy jest w piśmiennictwie nie tylko polskim, lecz zachodnio-europejskim książka, któraby zagadnienia świata kobiecego i sprawy kobiecej rozpatrywała pod tak szerokim kątem widzenia, z taką dozą przenikliwości“.

Dzień Polski.

„Z intuicją kobiety i subtelnością poetki, wspartą poważną wieloletnią obserwacją życia, oraz gruntownym filozoficznym wykształceniem, podjęła ta wielka pisarka swe dzieło i dała czytelnikom przekrój życia duchowego kobiety, ze wszystkimi jej nadziejami, troskami i wątpliwościami, z całym jej człowieczeństwem i podświadomą troską pokutuje w niej od wieków dusza niewolnicy“.

Kurjer Warszawski.

„Książkę Grossek-Koryckiej zaliczyć musimy do bardzo cennego zbioru spostrzeżeń. Wielka inteligencja i, co ważniejsze, wielkie umiłowanie kobiety — czyni z niej bardzo dobrze nastawionego obserwatora“.

Polska Zbrojna

„Zanim powrócimy do książki tej w obszernym sprawozdaniu, życzymy narazie tak słusznej inicjatywie wydawniczej jak największego powodzenia wśród czytelników“.

Głos Prawdy Liter.

„Każda kobieta, stara czy młoda, szczęśliwa czy zrozpaczona, zbrojna w równowagę duchową czy targana zwątpieniami, znajdzie w tej książce kojące źródło dla swoich najskrytszych pragnień i tęsknot, pociechę w zawodach, podjętą do czynu“.

Kurjer Czerwony.

„Książka Grossek-Koryckiej — to historia kobiecego życia, zbiorowa synteza jego bólów, nędz, trudów, upadków i wzlotów — psychologiczna rozprawa na temat duszy kobiecej, duszy męskiej i ich odwiecznego, tragicznego nieporozumienia. Jest to dzieło socjologiczne, szukające rozwiązania dla dręczących, najaktualniejszych zagadnień społecznych.“

Dziennik Lwowski.

„Stawiając promienne, na logicznych przesłankach oparte, horoskopy kobiety wyzwolonej, Grossek-Korycka kładzie główny nacisk na zagadnienia chwili obecnej — najgenialniej wypowiada kobietę współczesną. Jak dobry, jasnowidzący lekarz-djagnosta, tłumaczy niezrozumiałe dla niej samej tajniki jej uczucia, charakteru i aspiracji. Jak mądry doradca, oświeśla otwierające się przed nią, ale dla jej przyzwyczajonych do mroku oczu jeszcze mgliste i splątane drogi. Poznać i przyswoić sobie tę książkę jest niemal przykazaniem dla świata kobiecego.“

Gazeta Lwowska Por.

Kobieta w świecie i w domu

ZLOT HARCERSTWA ŻEŃSKIEGO

W d. 18 b. m. odbyło się na Zamku u pani Prezydentowej Mościckiej zebranie informacyjne w sprawie II ogólnopolskiego zlotu harcerstwa żeńskiego. Sale zamkowe przybrały owego popołudnia wygląd niezwykły. U progu każdej komnaty stały honorowe strażnice harcerskie, witające przybyłych pozdrowieniem „Czuwaj!” Po zagajeniu przez p. Prezydentową zabrała głos p. Marja Uklejska, przewodnicząca Centralnej Komisji Złotowej, z entuzjazmem wtajemniczając obecnych w ideologię harcerstwa i informując o zadaniach Zlotu.

Odbędzie się on 5—20 lipca w Wyszowie, w lasach nad Bugiem, w celu uczczenia pięćsetnej rocznicy śmierci Zawiszy Czarnego, rycerza bez zmyślenia i prawozoru harcerstwa.

Zadaniem Zlotu jest:

- 1) wzmocnienie poczucia łączności i siły szeregów harcerskich przez zbiorowy czyn;
- 2) wytworzenie braterskiej atmosfery i zbliżenia się drużyn na terenie współżycia obozowego;
- 3) wzajemne zapoznanie się z dorobkiem poszczególnych Chorągwi, drużyn, oraz gron instruktorskich w zakresie doświadczeń pracy harcerskiej, co pozwoli wnieść nowe wartości do życia drużyn;
- 4) możliwość oceny dorobku harcerskiego całej organizacji i usprawnienia poszczególnych jednostek harcerskich w różnych dziedzinach pracy;
- 5) danie możliwości społeczeństwu zapoznania się z pracą i charakterem harcerstwa żeńskiego.

Na Zlocie odbędą się zawody: wyćwiczenia harcerskiego, sportowe, dowolne, przysposobienia wojskowego, nadto: pokazy przemysłu drużyn i pokazy artystyczne 10-cio minutowe (śpiew, tańce, orkiestry, szarady, żywe obrazy, przedstawienia, atrakcje).

W zlocie oprócz Chorągwi krajowych będzie brało udział 70 skautek obcych narodowości, które będą zorganizowane w Chorągwie Międzynarodową. Zlot będzie egzaminem z umiejętności życia społecznego, w którym każdy pełni wyznaczony sobie obowiązek i dzieli solidarnie odpowiedzialność za całość przedsięwzięcia.

— Ognisko nasze, — mówi p. Uklejska w „Ulotce złotowej”, — musi płonąć jasno, odbijając zapał serc harcerskich; musi płonąć gorąco, byśmy się zagrzali do dalszej, radosnej pracy! — Niewątpliwie, tak gorąca i serdeczna odezwa nie przebrzmi bez echa w naszym społeczeństwie i wzbudzi żywsze, niż dotąd, zainteresowanie dla spraw harcerstwa, ściśle związanych z duchowym rozwojem naszej młodzieży.

S. P. O

„ZWIĄZEK PRACY OBYWATELSKIEJ KOBIET“

Dnia 25 maja b. r. został zatwierdzony statut „Związku Pracy Obywatelskiej Kobiety”, nowego stowarzyszenia, a raczej stowarzyszenia kobiecego, które postawiło sobie za cel dążenie do odrodzenia Polski w duchu istotnej wewnętrznej niepodległości przez: 1) szerzenie i pogłębianie idei państwowości polskiej; 2) wprowadzanie w życie zasad prawdziwej demokracji; 3) zapewnianie kobietom bezpośredniego wpływu na państwowe i społeczne życie Polski. Sposobami działania „Związku” ma być urządzanie odczytów, pogadanek, wykładów, zakładanie warsztatów pracy dla kobiet i młodocianych, zakładanie domów opiekuńczych dla kobiet, burs, przedszkoli, wydawanie pism i wydawnictw i t. d.

Siedzibą Zarządu Głównego „Związku Pracy Obywatelskiej Kobiety” jest Warszawa. Przy Zarządzie Głównym, oraz przy Zarządach oddziałów, które powstały na całym obszarze Rzeczypospolitej, utworzono Wydziały dla poszczególnych dziedzin pracy. Na pierwszy plan wysunęła się konieczność stworzenia następujących Wydziałów: 1) Uświadczenia obywatelskiego, 2) Oświaty, 3) Kultury i piękna, 4) Opieki nad kobietą, 5) Opieki nad dzieckiem, 6) Wytwórczości gospodarczej kobiet, 7) Prasowy, 8) Finansowy.

Na czele Zarządu Głównego stoi p. Zofja Moraczewska, a w skład prezydium wchodzi p. posłanka Marja Jaworska, senatorka Zofja Golińska-Daszyńska, dr. Dłuska, Halina Jaroszewiczowa i p. Drzewiecka.

W b. m. odbyło się pierwsze walne zebranie Oddziału Warszawskiego, który zaznaczył już swoją działalność szeregiem aktualnych, cały ogół kobiecy interesujących, odczytów. Liczebność walnego zgromadzenia, oraz żywy tok dyskusji na temat referatu p. D'André, świetne przemówienie p. Janiny Strzeleckiej, wykazujące, że zrzeszanie się kobiet w Związku jest wskazaniem dobrze zrozumianego interesu kobiet — świadczą o żywotności zagadnień, które Związek porusza, oraz o bezpośrednim kontakcie ze światem kobiecym. Przyczem nadmienić należy, że Związek będzie energicznie wywalczał swoje postulaty, sięgając do kompetentnych instancji i instytucji.

H. N.

O RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIET W POSTĘPOWANIU HONOROWYM

Akcja, podjęta przez Rodzinę Wojskową i Polskie Akademickie Koło Przyjaciół Ligi Narodów w sprawie reformy kodeksu honorowego, posuwa się naprzód. Ustalono kardynalne zasady, na których będzie oparty nowy kodeks honorowy. Są niemi w pierwszym rzędzie: równouprawnienie kobiet w postępowaniu honorowym i ograniczenie do minimum stosowania pojedynku, który jest w zasadzie niedopuszczalny.

Po ustaleniu zasad wytycznych statutu i kodeksu, komitet organizacyjny rozwinął energiczną akcję dla utworzenia Ligi honorowych praw kobiet i reformy kodeksu honorowego. Obecnie czynne są już komisje: statutowa, kodeksowa i prasowo-propagandowa. Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, szereg wybitnych osobistości zgłosił swój akces do prac Ligi.

ZJAZD ZJEDNOCZONYCH ZIEMIANEK

Ostatni Zjazd Ziemianek, poza sprawami organizacyjnymi, poruszył 3 zasadnicze tematy: oświatę gospodarczą, sprawy szkolnictwa ogólnego i zadania zorganizowanych kobiet w chwili bieżącej. O przysposobieniu rolnem kobiet mówił prof. Mikułowski-Pomorski, kładąc nacisk na rewizję dotychczasowych metod szerzenia oświaty gospodarczo-rolnej. Według ustawy, szkoła gospodarcza powinna być w każdym powiecie. Tymczasem jest ich wogóle u nas 150. Trzeba więc narazie chwycić się innych metod popularyzowania wiadomości rolniczych. Doskonałe wyniki w Ameryce dały konkursy rolne dla młodzieży. Konkursy takie zorganizowało u nas w Łęczyckim Koło Ziemianek, wspólnie z okręgowym Tow. Rolniczym dla Kół młodzież.

Ożywioną dyskusję wywołał referat prof. Nawroczynskiego o reformie szkolnej. Podnoszono, jako najważniejszy postulat, ujednolicienie poziomu wykształcenia szerokich mas przez rozgałęzienie sieci szkół powszechnych. Omówiono następnie metody nowoczesnych szkół pracy w Szwajcarii i we Francji w związku z referatem p. Siernikowskiej.

Sprawozdanie p. Z. Zamoyskiej z kongresu Unji Katolickich Lig kobiecych w Hadze ujęło cały szeroki obraz katolickiej akcji społecznej na Zachodzie. W akcji tej produkuje młodzież. We Francji akademicy, zrzeszeni w drużyny społeczne przez ks. Garricha, oddają swój czas i wiedzę bezinteresownie dla szerzenia kultury wśród mas. We Włoszech Stow. młodzieży katolickiej, liczące 300.000 członków, utrzymuje wielki katolicki uniwersytet w Me-

djowanie, gdzie Kongregacja św. Pawła. (Opera Cardinale Ferrari) stanowi ognisko, promieniujące na cały świat swą akcją. Referat p. Zamoyskiej uchwalono wydać w osobnej odtbitce.

Zasadnicze myśli, zawarte w referacie p. Z. Zaleskiej, prelegentka opracowała oddzielnie w specjalnym artykule który umieszczamy w bieżącym numerze „Bluszcza”. p. t. „Chwila dziejowa obecna”.

ELEKTRYFIKACJA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Bardzo popularne i znane pismo elektrotechniczne „Electrical World”, w Stanach Zjednoczonych, drukuje ciekawą statystykę, dotyczącą sprawy używania przez amerykanki w gospodarstwie domowym przeróżnych aparatów elektrycznych.

Cyfry przedstawiają się następująco: w r. 1928 znajduje się w użyciu: 300.000 kuchen elektrycznych, 200.000 piecyków do grzania potraw; 10 milionów żelazek do prasowania; 1 i pół miliona pieców do ogrzewania mieszkań, 2 miliony maszynek do kawy; 2 i pół miliona maszynek do prania bielizny; 4 miliony odkurzaczy; 3 miliony wentylatorów; 70.000 maszyn do wytwarzania lodu; 85.000 aparatów do ogrzewania wody w łazienkach i t. d. i t. d. Wobec tych imponujących cyfr i ułatwień, jakżeż nędznie wygląda gospodarka domowa u nas!

H. S.

OCHRONKA POLSKA WE FRANCJI

Największą troską matki jest wychowanie dziecka. Całą duszę w to wkłada, wszystkie trudy ponosi, nieraz swe zdrowie i życie poświęca, aby praca jej wydała jak najlepsze plony, aby dziecku szczęśliwem było. Taką jest matka.

Nieraz jednak całe jej poświęcenie, cały wysiłek, cały trud idzie na marne, jeżeli ją zmogą warunki, jeżeli, pomimo najlepszej woli i czynów, nie widzi rezultatów swej pracy. W takim położeniu jest wiele matek polskich we Francji. Wyjechały tam na obczyznę, gdyż w kraju nie było dla nich pracy. Wyjechały z mężami i dziećmi, sądząc, że i tam będą mogły spełnić swój obowiązek matki. Jakże się gorzko zawiodły! Jakże bolesnem jest dla nich, że nie mogą dać dziecku tego najważniejszego czynnika wychowawczego — przedszkola i szkoły polskiej! Na 70.000 dzieci w wieku szkolnym jest zaledwie 100 nauczycieli. Tylko niewielka grupa dzieci korzysta z dobroczynnego wpływu nauczyciela.

Tysiące dzieci nie umieją czytać, ani pisać po polsku. Tysiące dzieci wychowuje ulica i estaminety francuskie. Potworzyły się, co prawda, instytucje, mające na celu opiekę nad dzieckiem, ale przeszkodą w ich pracy jest brak pieniędzy, brak książek polskich. To jedno zło. Drugie jest większe.

Nieraz stowarzyszenia polskie stoją bezradnie wobec faktów, które ze strachem każą patrzeć w przyszłość. Oto kilka obrazków:

Wdowa, złożona chorobą, przykuta do łóżka, a w domu kilkoro drobnych dzieci. Nie mają co jeść. Matkę zawożą do szpitala, a dziećmi opiekuje się jedna z instytucyj francuskich. Lecz jakże drogo trzeba okupić tę opiekę! Po kilku dniach przychodzą do niej i mówią: „Albo zapłacisz za utrzymanie dzieci, albo przepisziesz je nam na własność”.

Biedna matka broni się; wszelkich sposobów używa, aby do tego nie dopuścić, aby dzieci nie oddać. Wkońcu, gdy wszystkie środki zawiodły, zgnębiona, zrozpaczona, zalana łzami — podpisuje wyrok.

Albo znowu: Dziewczyna po wyjściu ze szpitala szuka pracy, lecz z dzieckiem nigdzie nie przyjmą. Co ma robić? Oddaje znowu do instytucji francuskiej na wychowanie. Zdawałoby się, że sprawa załatwiona. Tak, lecz w służbie zarobi 150 — 200 franków, a za dziecko 180 fr. zapłacić musi. I znowu powtarza się ta sama historia. Albo jeszcze jeden przykład. Mąż uległ ciężkiemu wypadkowi, albo uciekł (i jedno i drugie powtarza się bardzo często) na żonie pozostał ciężar utrzymania rodziny. Lecz są dzieci drobne. Przy kim je zostawi, gdy pójdzie do pracy? Takich i tym podobnych przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

Kobiety Polki! Czyż trzeba więcej dowodów, ażeby Was przekonać o konieczności otwarcia ochronki stałej dla biednych dzieci polskich na emigracji?

Życie w Polsce nie jest łatwe, to prawda. Mimo to jednak wierzę, że wiele, bardzo wiele znalazłoby się takich kobiet, które bez specjalnego uszczerbku dla siebie, czy swej rodziny mogłyby na ten cel ofiarować choćby niewielką sumkę. Nie pozwólcie zatracać małych duszyczek! Powtórzcie za działaczami emigracji: „Każde dziecko polskie wróćmy Polsce”.

Pomyślcie o tem i myśl przekujcie w czyn!

Ewentualne ofiary pieniężne można przesyłać pod adresem L'Union des Instituteurs Polonais en France, 24, rue François de Badts-La Madeleine (Nord) albo wpłacać na konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 191.056 na ochronkę.

M. G.

ŚWIĘTO KLUBÓW DZIEWCZĘCYCH

Chrześcijańskie Stow. młodych kobiet, prowadzące od szeregu lat intensywną pracę wśród dziewcząt, przy pomocy Światlic, czyli tak zwanych „klubów dziewczęcych” zorganizowało ostatnio wielkie Święto Klubów, mające na celu wykazanie społeczeństwu całokształtu ich pracy.

W kino-teatrze „Muza” zebrały się wszystkie zespoły, występując każdy ze swoim, przez siebie wymyślonym, programem. Np. grupa „Płomyk” odtańczyła „taniec szewczyka”, grupa „Orzeł” zainscenizowała „humoreskę klubową”, „Tęcza” wystąpiła z chóralną deklamacją i t. d. Szczególnie miłym był „Conferencier”, mały „duszek błękitnego tygodnia”.

Całość wywarła niesłychanie miłe wrażenie, dzięki bardzo kulturalnej postawie dziewcząt, oraz przez widoczną harmonję, jaką panuje między niemi i kierowniczkami.

Z. M.



Najstarsza kobieta w Niemczech, 106-letnia wdowa Prigge

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIET

III

SZTUKA

Obcowanie kobiety ze sztuką jest daleko mniej zawile, aniżeli jej stosunek do nauki: od dawien dawna, przecież, nasze prababki grywały na klawikordzie, malowały z natury kwiatki na porcelanie i śpiewały rzewne, romantyczne piosenki. Prawda, że to wszystko nie nazywało się pompacyjnie sztuką, nie przeprowadzano długich i mozolnych studjów; najwyżej, jakiś „metr“ zagraniczny edukował panienkę. Niemniej jednak zajmowanie się muzyką, malarstwem i śpiewem było przecież jednym z zasadniczych przepisów dobrego tonu.

Kobieta dzisiejsza zepchnęła tak po dyletancku traktowaną sztukę na plan ostatni. Prostu, ma tak wiele nieodzownych i pochłaniających ją zajęć, że nie może pozwolić sobie na luksus studjowania czegoś dla przyjemności jedynie. Prawo specjalizacji wtargnęło i do tej dziedziny zamiłowań i choć z jednej strony zmniejszyło ilość pań grających, śpiewających i malujących, z drugiej strony wpłynęło na podniesienie poziomu tych sztuk: z roli służebnic wyniosło je na stanowiska władczyń. Dlatego miernoty w sztuce dziś już są niedopuszczalne, bo tylko rzeczywiste talenty mogą wytrzymać ogniową próbę wymagań współczesnej metody pracy. To też zanim powiemy sobie, że poświęcimy się malarstwu, czy muzyce, musimy głęboko rozważyć wszystkie „pro“ i „contra.“ Zdolności i zamiłowania artystyczne leżą głębiej w naszych, duszach i są bardziej nieuchwytne, objawiają się bowiem, w specjalnych i bardzo subtelnych odcieniach naszych nastrojów, które przechodzą często przez nas samych niezauważone.

Dużą pomocą w tym wypadku dla matki jest ścisła obserwacja dziecka od jego lat najmłodszych: wszelkie, nieudolne jeszcze, dziecinne dążenia w tym kierunku znamionują chęci, które po większej części idą w parze ze zdolnościami i pozwalają już na stawianie pewnych hipotez.

Są tu jednak skale nierównomierne: od przyszłych gwiazd operowych, od sław twórczych począwszy, a skończywszy na dobrych i zdolnych nauczycielkach. I w tych samych ramach zamyka się możliwość zastosowania choćby muzyki i śpiewu w życiu: nigdy nie można przewidzieć, czy, wstępując do szkoły muzycznej, bije się drogę do przyszłych wawrynow, czy też przedrepce się życie od domu do domu, wykuwając uprzykrzone do, re, mi, fa z przyszłemi, domniemanemi sławami.

Szkół muzycznych i śpiewu jest w Polsce dość dużo; stoją one na różnym poziomie. Tem się jedynie

różnią od wszystkich innych, że nie wymagają specjalnego cenzusu naukowego.

Państwowych szkół muzycznych mamy tylko dwie: Państwowe, Konserwatorium Muzyczne w Warszawie—Okólnik 1, oraz Państwowe Konserwatorium Muzyczne w Poznaniu—Wrocławska 16. Opłata wynosi, jak we wszystkich szkołach państwowych, około 100 zł. rocznie.

Pozatem istnieje cały szereg szkół prywatnych, jak: w Warszawie—Wyższa Szkoła Muzyczna im. Chopina, ul. Sienkiewicza 8; Warszawska Szkoła Muzyczna, Pl. Trzech Krzyży 18; Szkoła Muzyczna im. Karłowicza, ul. Złota 40; Instytut Muzyczny, Al. Jerozolimska 37. Osobom, chcącym przejść wyższy kurs gry wirtuozowskiej, możemy polecić prywatną klasę Józefa Śliwińskiego. Wszelkich informacji udzielić może dyrekcja gimnazjum A. Jakubowskiej—Plac Trzech Krzyży 18.

W Łodzi—Konserwatorium Muzyczne, ul. Traugutta 9; Łódzki Instytut Muzyczny, ul. Piotrowska 86; w Kaliszu—Szkoła Muzyczna, ul. Parkowa 3; w Wilnie—Konserwatorium Muzyczne, ul. Dominikańska;

w Kielcach—Szkoła Muzyczna, ul. Tadeusza 11;

w Radomiu—Filja Wyższej Szkoły Muzycznej, ul. Lubelska 46;

w Krakowie—Konserwatorium Tow. Muzycznego, pl. Szczepański, gmach Starego Teatru; Instytut Muzyczny, ul. Św. Anny 2;

w Poznaniu—Wielkopolska Szkoła Muzyczna, ul. Ratajczaka 36; Poznański instytut muzyczny, ul. Ogrodowa 4;

w Lublinie—Szkoła Muzyczna, ul. Kapucyńska 7;

Lwów—Konserwatorium, ul. Chorążczyzna 7; Lwowski Instytut Muzyczny—Sobieskiego 4; Instytut Muzyczny, ul. Szaszkiewicza 5;

Toruń—Konserwatorium, ul. Chełmińska 16;

Katowice—Instytut Muzyczny, ul. Teatralna 7, i wiele innych we wszystkich większych miastach.

Szkoły śpiewu: Warszawa—Szkoła Marii Sobolewskiej, ul. Ordynacka 11; Szkoła śpiewu solowego Janiny Mahrburgowej, ul. Krucza 14.

Kraków—Szkoła śpiewu St. Bursy, ul. Kapucyńska 3.

Wyższych szkół malarstwa i rzeźby jest w Polsce mało: Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie—Matejki 13, i Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie—Wybrzeże Kościuszkowskie 37. Kurs trwa przeciętnie 5 lat, a program obejmuje wszelkie możliwe specjalności, więc: sztukę wnętrza, malarstwo, malarstwo dekoracyjne, grafikę i rzeźbę. Szkół rysunku i malarstwa o różnym poziomie i rozmaitych programach jest bardzo dużo, nie są to jednak szkoły wyższe i pomówimy o nich na innem miejscu.

Jeżeli chodzi o praktyczne zastosowanie wykształcenia artystycznego, to najlepiej da się wyzyskać grafikę i malarstwo dekoracyjne.

Zdolni graficy i dekoratorzy są teraz, niezmier- nie poszukiwani, a właściwie możnaby zacytować tylko parę wybitniejszych nazwisk w tej dziedzinie.

Pozatem, dla kobiet bardzo ciekawym i pożytecz- nym działem jest sztuka wnętrz.

Zagranicą istnieją specjalne przedsiębiorstwa, zaj- mujące się urządzeniem mieszkań bogatych, oczywiście — bardzo bogatych ludzi, i prosperują świetnie. U nas istnieją coprawda, tak zwani dekoratorzy, ale nie są to ludzie o specjalnem artystycznym wykształ- ceniu.

Chcąc mieć artystycznie urządzone mieszkanie, a nie wierząc w swój własny dobry smak, trzeba się poprostu zwrócić do któregośkolwiek z malarzy, któ- ry jednak nie jest zupełnym fachowcem, bo jest — malarzem.

W większej części wypadków nasi dorobkewi- cze radzą sobie sami, i z tego powodu ich mieszka- nia często przechodzą żywcem do komedji, aby po- zostać nazawsze synonimem „złego smaku“.

Dużo wody upłynie, zanim sztuka wnętrza bę- dzie grała u nas taką rolę, jak zagranicą; jednak wal- ka z obrzydliwymi mieszkaniami należy przedewszyst- kiem do kobiety. Żaden mężczyzna nie odczuje w całej pełni ważności tego, a nie innego koloru obicia i ta- kiego, a nie innego sposobu ustawienia gracyków. Ko- bieta głębiej i subtelniej odczuje duszę domu i potrze- bną mu atmosferę i z większą, niż mężczyzna, wnikli- wością zastosuje do niej całe urządzenie mieszkania.

Malarstwo czyste i rzeźba stoją na najwyższym szczeblu doniosłości artystycznej i tak samo, jak mu- zyka i śpiew, mają dwie tylko możliwości: samodziel- ną twórczość, która musi być wspaniałą, aby była po- żyteczną, oraz działalność pedagogiczną, zmuśną i cięż- ką, jak każde nauczycielstwo. To też, wybierając tę dro- gę, trzeba być pewną siłą swoich.

A teraz dotknę sprawy bardzo drażliwej i bo- lesnej, która jest często powodem rozdzwieków w ro- dzinie: teatru i kina.

Nasze prababki, uprawiając muzykę i malarstwo, o teatrze nie myślały nawet, tak bardzo były „dobrze wychowane.“

Co do kina, to, oczywiście, nie wiedziały, że kie- dyś wogóle będzie.

Dziś czasy się zmieniły: teatr i kino wtargnęły w nasze prywatne życie dość energicznie na to, aby obalić dawne pojęcie o swojej dalekości. Nie zdołały jednak obalić przesądów. I oto, gdy młodzież nau- czyła się patrzeć na teatr i kino, jak na sztukę i to na wysoką sztukę — mamy i ciocie widzą w nich tylko siedlisko wszelakiego zepsucia. Stanowią hamulec dla impetu zapalonych głów i wątpliwych talentów — to jest, oczywiście, doskonałe — powinny jednak uważać, aby nie były hamulcem dla talentów niewątpliwych.

Żadna, bowiem, sztuka nie jest tak zwodna, jak sztuka aktorska: przedewszystkiem — kwestja zdolności

jest niesłychanie mętna i nieokreślona, gdyż często krystalizują się one dopiero w ostatniej chwili, prawie w chwili debiutu, a powtóre — talent nie wystarcza do powodzenia. Trzeba mieć jeszcze „szczęście“

Szkół dramatycznych mamy niewiele, bo tylko dwie w Warszawie: Kursy Hryniewieckiej — Al. Jero- zolimskie 3, i Szkołę H. Ossorji, ul. Smolna 14, oraz szkoła dramatyczna przy Konserwatorjum Muzycznym, które grupuje prawie wszystkie odłamy sztuki.

Ze szkół filmowych mamy jedną w Warszawie — ul. Hipoteczna 5, i jedną w Wilnie, ul. Garbarska 5.

Na zakończenie chciałabym dodać, że studjowa- nie w poszczególnych miastach uniwersyteckich jest ułatwione dzięki polepszeniu się warunków mieszka- niowych, istnieją bowiem tak zwane Domy akade- miczek, których w Warszawie jest dwa: jeden — na Wspólnej 10, drugi, specjalnie wybudowany gmach na Górnośląskiej. W domach tych panienka może otrzymać pokój osobny lub wspólny, za opłatą dwu- dziestu paru złotych miesięcznie.

W innych miastach uniwersyteckich tego rodza- ju domy są tylko prowizoryczne i o dużo mniejszej ilości pokoi.

Zofja Miszewska.



S Ł O Ń C E

Przekroczyliśmy już próg lata! Tęsknota do słońca staje się wszechpotężnem, rosnącym z dnia na dzień pragnieniem. Rozwija się w sercu ludzkim, niby kwiat, strzelający z pąka, który wbrew złośliwej aurze zakwita w deszczu i wichrze, w zimnie i burzy, gdy nadejdzie jego godzina.

Słowo wstępne do letniego sezonu — wiosna, nietylko nie odebrała nadziei w lepsze jutro, ale przeciwnie, niczem miłościwa prządka, wysnuła z sym- fonji wichrów, deszczowych łez i żywiołowej burzy nic wiary w niezawodną prawdę życiową, która uczy, że po najdłuższym okresie zła musi odwrócić się karta, że po rzęsiстых potokach deszczu przyjdzie wreszcie słońce.

Gdy z przepelnionych wagonów wyfruną na swo- bodę tłumy uznojonych mieszczuchów i, niby paciorki rozerwanego różańca, rozsypią się po szmaragdowej trawie, po zaciszach leśnych, górskich wąwozach i błogosławionej nadewszystko, złocistej plaży — nie będzie w sercu niczyjem miejsca na wyrzekanie.

W roku normalnym i zrównoważonym zazwyczaj trudno dogodzić wybujałym pojęciom o doskonałości. Słońce pali zbyt silnie, przewiewu jest za dużo, lub zbyt mało; chciałoby się w takim miłościwym roku zaprząć tajemne siły przyrody do swego rydwanu,

żądając odpowiedniego tła dla każdej niemal nowej szatki, parasolki, kostjumu, czy szala. Otóż kalendaryzowe lato, które łaskawie panować nam zaczęło, może poszczycić się przychylnym nastrojem poddanych. Byle uśmiechnęło się od czasu do czasu i za kilka deszczowych, zimnych dni zapłaciło jednym dniem słonecznym—wdzięczność i zachwyt ludzki nie omieszkają złożyć mu kornej daniny! Żadna z wykwintnych elegantek nie poważy się rzucić w twarz słońcu gorzkiego wyrzutu, że oto liczyła na dzień, skąpany w melancholji półtonów i półcieni, na którego tle tak śliczną plamę tworzyłby jej strój pastelowy. Zależnie od śmiałości, czy dyskretnie zaleknionej indywidualności, wyjdzie naprzeciw słonecznej tarczy, spowita w triumfalną, gorącą czerwień (barwę z modnych — najmodniejszą), dokumentując jakoby triumf słońca, lub też, wierna przestarzałym pojęciom o płoszeniu szczęścia przez radość i wiarę w trwałość uśmiechów losu—przyoblecze swe modne, doskonale wytrenowane i jeszcze doskonalej głodówką, obchudzającami kąpielami i parafiną na wodzy utrzymywane kształty — w pastelowy błękit, śliczny zarówno w złocistych refleksach, jak i w aureoli chmurnych obłoków.

Terenem, na którym w sezonie letnim najczęściej króluje Pani, jest plaża i ukwiecona weranda. Plaża, nawskroś nowoczesna, nie stawia żadnych prawie ograniczeń jej fantazji. Przytuli ją jednako do swego aksamitnego podłoża w pyjanie, trykocie, w płaszczu z kosztownego jedwabiu, lub ciepłego, a mniej pretensjonalnego éponge'u, czy flaneli. Nie zatrząśnie przed nią wrót, otwartych szeroko na krainę pocałunków słońca i fali, jeżeli zapomni o tem, że ostatnim wyrazem chwili jest kąpielowy trykot z czystej wełny, i nie uśmiechnie się ironicznie na widok dyletanckiego utrzymania go w jednym kolorze, pomimo, że wie, wie doskonale, o kapryśnem upodobaniu, które każe stwarzać dziwaczne, a śliczne mieszaniny z bananów, maków, lilij, bławatków, bzów i fantastycznych złoceń.

Wszystko jej jedno, czy Pani ma pantofelki brokatowe, czy sandaalki z rafji, czy też ciżemki, przytwierdzone do nóżki splotem wstążek. Naznaczy ją tak samo rozkosznem piętrem gorącego brązu, spotykając na swej triumfalnej drodze jej bosc, lub też obute w gumę, czy skromne płótno, nóżki. Byle wyszła w krasie młodzieńczego wdzięku, smukłym kształtem przytuliła się do ciepłego piasku i z radosnym okrzykiem, z miłością i wiarą, rozświetliła ją swą urodą, zachwytem i wdzięcznością! Plaża żąda niewiele.

Jest tolerancyjna i nawskroś ugodowa. Rozrzuci skarby najhojniejszą dłonią, płaci szczerem złotem zdrowia, radości, śmiechu, tężyzny, nie żądając wzajemian nic, prócz odrobiny wdzięczności i przywiązania, które rok po roku każe wracać do jej życiodajnych źródeł.

Natomiast weranda, jako rama dla wdzięku kobiecego, wykazuje już więcej równowagi. Daje, ale i żąda! Darzy półcieniem ścian, spowitych w pnącze, pieści oko tęczą kolorów; jest, niby najwonnejsza amfora; oplata niewysłowionym urokiem kwietnego bogactwa.

Jednak największa duma Pani—weranda letniej siedziby—kosztuje ją wiele trosk i wiele wysiłków. Zanim rozpostrze ponad nią kolorowy kielich ogromnego ogrodowego parasola, ustawiając w jego cieniu stoliki, fotele i leżaki, musi złożyć w daninie małą chociażby część wdzięku, jakim tchną w czasie zimowych miesięcy jej wymanicurowane paluszki. Spędzi wśród skrzyń, donic i żardinerek niejedną znojną godzinę. Pod misternie zondulowanym lokiem, co wije się na czole, ukryje tysiące koncepcyj i tysiące planów. Dobiera barwy i odmiany roślin, dbała o niegasnącą ani na chwilę krasę swego wiszącego ogrodu.

Gdy nadejdzie wreszcie dzień zapłaty, składając hołd zapobiegliwej pracy i wykwintnemu dekoracyjnemu gustowi pastelowym bogactwem hortensyj, płomienną wstęgą pelargonij, szafirowymi oczkami misternych lobelij i fantastycznie znaczone kielichami wonnych w słońcu petunij—wyłania się nowa troska. Oto spożywane na tej cudnej werandzie posiłki wymagają znów specjalnej oprawy.

Białe obrusy, odwieczne kolorowe serwety adamaszkowe nie mają tutaj dostępu. Stół do rannej, czy poobiedniej herbaty zasłany być musi, zgodnie z nakazem chwili, serwetą o typie moderne i zastawiony takąż porcelaną. Trudno wyobrazić sobie, aby na takim właśnie werandowym stole mogło zbraknąć kwiatów i owoców. Podłoże, czyli serweta musi zlewać się w całość tak z jednemi, jak i drugimi.

Chcąc osiągnąć szczyt estetycznego efektu, trzeba wybrać jedną z dwóch wytycznych: harmonję, lub kontrastowość. Łączenie jednolitych barw bielizny stołowej, kwiatów i porcelany, lub też rzucanie na odmienne tło odmiennych kolorytów—zależnem jest ściśle od upodobań indywidualnych. Na podłożu złocistej serwety z gładkiego płótna, lub batystu linon, który wkroczył w dziedzinę bielizny stołowej, można ustawić niską kryształową wazę, napelnioną bratkami, utrzymanymi w tonach szafirowych, lub ciemno-fioletowych; równie efektownie wyglądać będzie lekko ułożony pęk małych maczków ogrodowych, których zasadnicze barwy wahają się od białej, poprzez blado-żółtą, aż do gorąco pomarańczowej. Ogniste nasturcje, lub pelargonje, ciemno-fioletowe petunje, wreszcie więź szafirowych bławatków polnych—dadzą również nieporównane efekty. Nikłe tony bielizny stołowej uwydatnią prześlicznie dekorację z groszków pachnących, werbeny, floksów, lub królewskich dalij. Wreszcie jesienne astry, zmieniające barwę liście dzikiego wina, sumaka, klonów i jeryn, pokryte czerwienią drobnych jagód gałązki berberysu—znaleźć po-

winny odpowiednie podłoże wśród kolekcji bielizny stołowej, utrzymanej w tonie moderne.

Najefektowniejsze i najmodniejsze są dzisiaj serwety, ręcznie haftowane, oraz białe, bogato rozszywane koronkami. Na kolorowym tle rozsiane większe i mniejsze stonowane grochy; bukiety kwiatów, rozrzucone fantazyjnie, lub splecione w misterne wianki; szare, samodzielne płótno, ujęte w ramę barwnego polnego kwiecica. Serwetki małe, wykończone tak, jak i obrus, obrębem, ręcznie mereżkowanym, mogą być tylko znaczony, a wówczas ujmujemy monogram, czy litery, w ramę miniaturowego deseni, zapożyczono od obrusa.

Zastawa na prawdziwie dobrze nakrytym stole musi solidaryzować się z kolorem serwety, lub kwietnej dekoracji. Owoce i kwiaty, w myśl ostatnich nakazów mody, ułożone w niskich czarach; kształt stołu okrągły, blat osadzony na jednej nodze, która tak doskonale rozwiązuje dawny trudny problem uniknięcia miejsc, mniej, lub więcej uprzywilejowanych.

W. D.



DZIESIĘĆ DNI W CZECHOSŁOWACJI

Bardzo ożywione i wesołe grono, złożone z 20 instruktoerek gospodarstwa wiejskiego i trzydziestu paru ziemianek, wyruszyło 16 maja do Pragi Czeskiej, aby obejrzeć wystawę rolniczą, szkoły i gospodarstwa wzorowe i wziąć udział w Zjeździe gospodyń, który w tym roku, z powodu uroczystego obchodu dziesięciolecia odzyskanej przez czeski naród niepodległości, miał być szczególnie liczny i zajmujący.

Wszystkie obiecywałyśmy sobie odnieść niemało korzyści z tej wycieczki, a nasze dzielne instruktorki, które poraz pierwszy miały przekroczyć granice Polski, cieszyły się tak, że i nas radość ogarniała, widząc ich młody zapał, świeżą ciekawość i tryskające życie; to też trudno sobie wyobrazić weselsze towarzystwo, niż to, które zapełniło wagon, wiozący nas do Pragi. Przybyłyśmy tam wczesnym rankiem, oczekiwane gościnnie na dworcu przez p. Stepankową, sekretarkę „Zemledelskiej jednoty”, t. j. olbrzymiego zjednoczenia ludu czeskiego, w którym się grupują rolnicy z całego kraju.

Praga była dnia tego przepełniona do takiego stopnia, o jakim my tu nawet pojęcia nie mamy, gdyż do miasta, liczącego 800.000 mieszkańców, zjechało około 300.000 gospodarzy i gospodyń wiejskich, z których wielka liczba w strojach ludowych, przepięknie

haftowanych, olśniewających bogactwem barw i artystyczną różnorodnością motywów zdobniczych. Olbrzymia, nie kończąca się rzeka ludu przelewała się przez ulice rytmicznym marszem, poprzedzana przez orkiestry, unosząca nad głowami—zdobnemi w cudowne czapki i czepki—sztandary, chorągwie, plakaty z napisami, wyrażającymi szlachetną dumę gospodarzy czeskiej ziemi i wolę tych, którzy żądają, aby się z nimi, jako właśnie z tymi gospodarzami, liczone.

Pochód mijał Zamek Królewski Hradczanski i składał hołd prezydentowi Masarykowi, dla którego żywi najwyższe uznanie... cześć... przywiązanie poprostu imponujące i wzruszające.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo popołudniu na wystawie, którą cała ta żywa fala pragnęła oglądać: bez względu na to, że plac wystawowy obejmuje obszar wielomorgowy, literalnie głowa przy głowie zapełniała wszystkie jego zakątki; oczywiście, nie mogło być mowy o szczegółowym oglądaniu wystawy; co najwyżej można się było zorientować w jej rozkładzie i zauważyć, że gospodarstwo domowe zajmuje aż trzy duże pawilony, a w pałacu głównym mieści się imponująca wystawa szkolnictwa gospodarczego kobiecego.

Myslałyśmy, że w dniach następnych wystawa będzie mniej licznie zwiedzana; okazało się jednak, że przez cały czas jej trwania, była ona stale nie tylko zapełniona, ale przepełniona, co już daje miarę stosunku czeskiej ludności rolniczej do postępu w tej dziedzinie. Cztery dni, przeznaczone na zapoznanie się z wystawą, pozwoliły nam jedynie na gruntowne przestudjowanie najbardziej nas interesujących pawilonów gospodarstwa domowego, szkolnictwa, melioracji i hodowli.

Chcąc je ująć w ogólną charakterystykę, zaznacząc, że wystawiono bardzo dużą ilość przedmiotów, ułatwiających i doskonalących pracę domową i to właśnie tę, której wykonanie należy do najmniej pojętych, a więc: zmywanie naczyń, pranie, sprzątanie. Widać też było próby przedstawienia urządzeń małych mieszkań, rozplanowanych tak, żeby najmniej obszaru wyzyskać umiejętnie, dla zapewnienia maksimum komfortu jego mieszkańcom. Tak np. budowniczy Havlik rozmieszczył na przestrzeni 60 metrów kw. dwa pokoje i kuchnię, kąpiel, spiżarnię, przedpokój i wszelkie inne pomieszczenia, bez których ludzie cywilizowani dziś mieszkać nie mogą. Tenże p. Havlik pokazał zgrabną i niewielką szafę, tak rozplanowaną, że jest w niej miejsce na wszystko, poczynając od koszuli, a kończąc na parasolu, i nie dość na tem: każda szuflada wysuwa się lekko i z łatwością, lekkim ruchem można całe wieszadło na ubranie wysunąć na zewnątrz. Każdy szczegół daje się z łatwością dosięgnąć i wreszcie nic się nie gniece, a do najdrobniejszego szczegółu łatwo trafić bez namysłu.



P. Stepankova, sekretarka Czeskiego Tow. Rolniczego

Niezmiernie wygodny dla małych mieszkań jest stół kuchenny uniwersalny Fr. Milera, który służy do przyprawiania potraw, po otwarciu ukazuje wygodne zbiorniki do zmywania i opłókiwania naczyń, dające się wyjąć w całości, poczem ukazuje się ukryta wanna z kranem i kubelkiem do wylewania wody; całość kosztuje zaledwie 220 zł. i daje się pomieścić w najmniejszym mieszkanku.

Również dla tych upośledzonych małych mieszkań przeznaczone są w pierwszej linii leżaki-szezlongi i leżaki-kanapy rozkładane i tworzące wygodne, szerokie łóżka.

Wśród drobniejszych sprzętów widzieliśmy praktyczną deskę do prasowania, wyzmaczkę bez wałków, a tylko z przyrządem, ułatwiającym ręczne wyżymanie bielizny. Śliczne aluminiowe i niklowe naczynia kuchenne, noże nierdzewujące i tysiące drobniaków, służących do ułatwienia pracy gospodyni — zwłaszcza z tej kategorii, która coraz częściej musi się obywać bez służącej.

W tymże dziale była prześliczna wystawa Czerwonego Krzyża, poświęcona propagandzie zdrowia, a więc: modele złego i dobrego rozplanowania zagrody wiejskiej, życie rodziny trzeźwej i alkoholycznej, niezliczone tablice propagandowe, wreszcie, czysta, wykwinna kawiarnia. „Pendant” do niej tworzy kuchnia jarska, urządzona pod hasłem spożywania większej ilości ogroduwizn; tam króluje p. Schneidrowa, kierowniczka wędrownych kursów gotowania; bogaty dobór sprzętów na takie kursy wystawiło stow. niemieckie, prowadzące je po wsiach. Czerwony Krzyż zorganizował śliczny zbiór przedmiotów na kursy zdrowia; w tym dziale, obleżonym przez publiczność, udzielają bez przerwy objaśnień higienistki, prowadzące takie kursy. — Nasze instruktorki, a zwłaszcza p.

Maciejewska, która u nas prowadzi z wielkiem powodzeniem podobne kursy po wsiach, zapoznają się z Czechkami, i natychmiast rozpoczyna się ożywiona rozmowa, prowadzona w dwóch językach, tak jednak pokrewnych, że obie narodowości mogą się ze sobą doskonale porozumiewać.

Niemożliwe jest opisanie całej wystawy; muszę się więc ograniczyć do kilku działów, bezpośrednio związanych z pracą kobiet; do takich należy, poza gospodarstwem domowym, hodowla i szkolnictwo.

Dział hodowli drobiu przedstawiał się okazale, gdyż większość drobiu wystawionego należała do dużych i pięknych ras; — mniej imponująco przedstawiała się strona praktyczna, drób wystawiony nie miał bowiem, żadnych cech użytkowych, raczej przeciwnie: miał liczne cechy, świadczące, że hodowcy jego większą uwagę zwracają na upierzenie, niż na nieśność. Dowodziły tego niesłychanej długości pazurki kur, które nigdy nie grzebały, ospały wygląd, ciężka budowa i inne oznaki słabej nieśności. — Bardzo piękna była grupa bażantów w 9 odmianach. Króliki, kozy i zwierzęta futerkowe licznie były reprezentowane i bardzo starannie wystawione...

Wśród zwierząt opasowych królowały olbrzymie wspaniałe świny, których hodowla obecnie jednak, nie opłaca się w Czechach z powodu dużego importu tuczników z sąsiednich krajów, które je taniej produkują; między temi krajami pierwsze miejsce zajmuje Polska: miałyśmy sposobność stwierdzić to, mijając cały pociąg, wiozący z Polski karmniki i jaja.

Dział szkolnictwa gospodarczego wystawiony był w sposób nad wyraz staranny, metodyczny i imponujący. Prześliczne hafty i inne roboty nadawały mu piętno artystyczne; do doskonałości doprowadzone konserwy wabiły oko; ale to wszystko stanowiło tylko ramę dla istotnej treści, którą rozwinęła przed nami inspektorka szkół gospodarczych p. Kozakowa, pokazując nam zeszyty, przedstawiające całokształt nauki, pobieranej w szkołach gospodarczych, których poziom przewyższa o wiele poziom naszych szkół podobnego typu.

Uderzył nas przedewszystkiem nacisk, wywierany na wyrobienie duchowe i umysłowe uczennic, których wypracowania, np., pisane co miesiąc, nie stanowią streszczenia, ani opowiadania na zadany temat, ale syntezę, wyciągniętą przez uczennice z charakterystyki danego miesiąca i wyrażoną w formie motto, stanowiącego temat wypracowania, obmyśłonego zupełnie samodzielnie i ilustrowanego rysunkami, czasem zastosowanymi do treści, przeważnie jednak będącymi jedynie wyrazem chęci wypowiedzenia się w dwójakiej formie artystycznej: słowem i pędzlem lub ołówkiem.

(d. n.)

M. Karczewska.



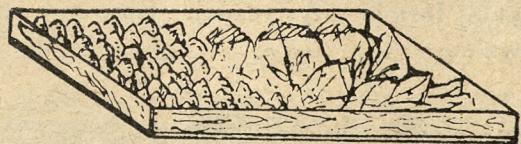
PAKOWANIE TRUSKAWEK

Miękkie owoce jagodowe gniotą się łatwo, więc przesyłanie ich sprawia znacznie większe trudności, niż wysyłka owoców twardych, jak: jałbka, gruszki i t. p. Trudności te wzrastają w miarę powiększania się odległości, zwłaszcza, gdy dostawa musi się odbywać wozami, przynajmniej do stacji kolejowej. To też zainteresowani hodowcy próbują różnych sposobów pakowania: układają owoce w małe, najwyżej 5-ciokilowe, łubianki, wysyłają w koszyczkach przewiewnych, albo w pudełkach tekturowych. Wszystkie jednak te sposoby, przy dłuższej podróży, zawodzą, bo owoce cierpią zarówno przez to, że kilka warstw ich leży i wzajemnie się uciska, jak również, że personel kolejowy i pocztowy niezbyt ostrożnie obchodzi się z przesyłkami, a przy przerzucaniu opakowanie ulega zgnieceniu, koszyczki i łubianki się przekrzywiają, jagody zaś zamieniają się na marmeladę.

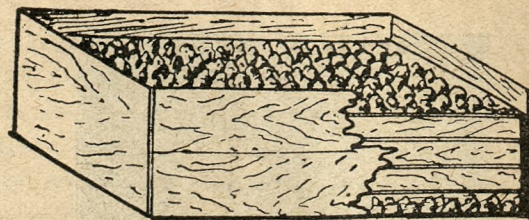
Opakowanie musi naturalnie wypadać możliwie tanio, żeby nie obciążało nadmiernie ceny owocu, ale nie zawsze najtańsze jest to, co, narazie tanio kosztuje. Więc choćby przyszło poczynić pewne nakłady, to jednak mogą się one sownie opłacić, gdy towar osiągnie wyższe ceny, a przynajmniej, gdy hodowca nie będzie narażony na straty wskutek psucia się delikatnych, a tak smacznych i pokupnych jagód, jak truskawki.

Otóż najpewniejszym opakowaniem okazały się skrzynki drewniane, istotnie zabezpieczające owoce przed wpływem wszelkiego ucisku. Skrzynki takie, jak, np., od cukru kostkowego, powinny być wykonane z możliwie cienkich deseczek. Jednocześnie trzeba się wystarać o cienkie listewki (3—5 mm grubości), albo cienkie deseczki pokrajać na listewki, szerokości 4 do 5 cm. Z listewek tych mają być zbite ramki, szczelnie pasujące do wewnętrznego wymiaru skrzynki, mające stanowić obwód przegrody do układania truskawek. Do owej ramy należy przybić dno z grubej, dość sztywnej tektury, albo z cienkiej dychty, dość sztywnej, żeby nie zwieszała się pod ciężarem jagód. Na jednej takiej półeczce mieści się około 2 kg. truskawek, co naturalnie zależy od wielkości powierzchni użytej skrzynki.

Dno i boki półeczek (ramek) należy wysłać liśćmi. Do tego celu doskonale nadają się liście podbiału, grube, mięsiste, utrzymujące więc długo wilgoć, choćby w drodze zwiędły. Liście takie zaleca się układać omszoną stroną ku górze. Na tem podście-



Rys. 1. Ramka, wysłana liśćmi i częściowo wypełniona truskawkami.



Rys. 2. Skrzynka z ramkami. Wolne miejsce wypełni ramką górną (pięta warstwa)

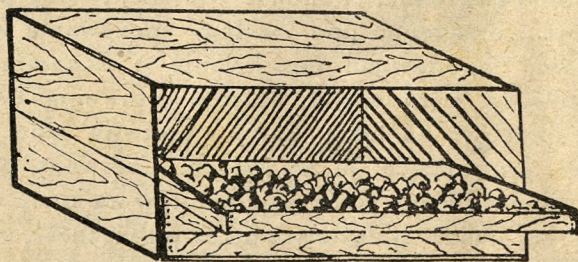
lisku trzeba jagody układać ściśle, jedną warstwą, ogonkami ku dołowi, żeby owoc miał oparcie na jędrnej, dość szerokiej podstawie.

Pierwszą warstwę owoców układa się wprost na wysłanem dnie skrzynki. Żeby jednak następna ramka nie uciskała owoców, należy do ścianek skrzynki przybić naokoło takie same listewki, jak te, z których robimy następne ramki. Dzięki temu druga ramka znajdzie oparcie na tych listewkach.

Teraz wypełnione jagodami ramki wstawia się kolejno do skrzynki, warstwę owoców nakrywa się warstwą liści, ażeby dno następnej ramki nie uciskało owoców bezpośrednio. Ucisk jednak jest konieczny, bo uniemożliwia jagodom przesuwanie się i poruszanie. Naturalnie—trzeba wybierać owoce jednakowej wielkości, co jest podstawową zasadą racjonalnego sortowania, a bez sumiennego sortowania niema mowy o racjonalnej organizacji handlu. Niestety! świadomość ta jeszcze nie wszędzie dotarła i, albo ulega lekceważeniu przez ignorancję, albo, co gorzej, bywa lekceważona świadomością z wielką szkodą nie tylko dla producenta, ale dla opinii całej polskiej produkcji sadowniczej.

Każda następna ramka zatem wspiera się na listewkach poprzedniej ramki, a wysokością muszą być tak dobrane, żeby wypełniły skrzynkę równo z brzegiem górnym. W przeciwnym razie, albo nie można zabić paczki, albo wypadnie wkładać grubą warstwę wysięłki, stanowiącą zbędny balast. Po nakryciu liśćmi ostatniej warstwy truskawek skrzynkę należy zabić wiekiem i zaopatrzyć na tej stronie adresem, żeby równocześnie wskazać wierzch paczki.

Ponieważ boki ramek przystają szczelnie do ścianek skrzynki, więc wyjmowanie ramek tak, jak były wstawiane, nie dałoby się wykonać. Należy zatem na miejscu przeznaczenia odbijać nie wieko, lecz jeden



Rys. 3. Wyjmowanie ramek z truskawkami.

bok skrzynki, i ramki wysuwać, jak szufladki. Do wielokrotnego użycia tych samych skrzynek można dany bok umocować na zawiasach i zamykać skrzynkę na skobelki, zabezpieczone plombami lub lakiem.

Ponieważ zarówno skrzynki, jak i ramki, mogą być wykonane z odpadków desek, a nie powinny mieć wymiarów większych, niż na 5 ramek (ogółem 10 kg. towaru), więc materiał na nie wypada względnie tanio. Opakowanie można szykować w okresie zimowym, kiedy długie wieczory trzeba wypełniać pracą w domu. Truskawki do wysyłki należy zbierać codziennie i to niezupełnie dojrzałe, a tylko zarumienione, tem silniej, im krótszy czas mają spędzić w podróży. Jagody należy zbierać bez rosy, unikając dotykania rękami, i odczu sortować do 2 łubianek, żeby uniknąć późniejszego przebiegania i gnienienia przy tem owoców.

Stan. Schönfeld.



ZUPA RYŻOWA Z JARZYNAMI

Na rosole, ugotowanym z kostek cielęcych z włoszczyzną (tylko marchew i pietruszka), lub na smaku z włoszczyzny (marchew, pietruszka, seler, por i cebula) rozgotować zupełnie ryż (pół szklanki ryżu na półtora litra smaku). Przetrzeć to przez sito — razem ryż i włoszczyznę. Oddzielnie ugotować kilkanaście szparagów, oczyszczonych i pokrajanych w kostkę, lub pęczek młodej karotki, pokrajanej w połówki, lub nieduży kalafior, podzielony na części, lub szklankę młodego, wyluskanego groszku zielonego. Każdą z tych jarzynek zalać wodą, tak, aby tylko objęło, osolić do smaku, włożyć łyżkę cukru i łyżkę masła, gotować wolno, aż zupełnie zmięknie. W chwili podania złączyć obie zupy razem i włożyć do wazy łyżeczkę najlepszego, śmietankowego masła. Można też włożyć do wazy rozbite żółtko, lub wlać pół filiżanki słodkiej śmietanki. Bardzo smaczna zupa, szczególnie dla rekonwalescentów, strawna i wzmacniająca.

ŁOPATKA CIEŁĘCA NADZIEWANA

Łopatkę cielęcą wymoczyć przez godzin parę, obetrzeć dosucha płótnem, rozciąć od spodu i wyluzować z niej wszystkie kości (które, porabane, mogą być użyte na zupę). Mięso rozłożyć na stolnicy i posmarować następującym farszem: Pół szklanki ryżu ugotować, nie rozgotowując jednak zupełnie — powinien tylko nie chrupać pod zębami. Dziesięć deka słoninki wędzonej, lub tłustego boczku, pokrajanego w drob-

ną kostkę, zmieszać z garstką drobno posiekanego młodego szczypiorku od cebuli, lub, kto zapachu cebuli nie lubi — zielonego koperku; dodać to do ryżu, osolić do smaku. Mięso zwinąć zgrabnie, jak roladę, zaszyć grubymi nićmi, posolić nieco po wierzchu. Na brytfanie rozpuścić łyżkę masła lub szmalcu, na rumiane położyć cielecinę, zrumienić ze wszystkich stron doskonale, podlać paroma łyżkami wody, przykryć miską i piec tak jeszcze około godziny, często polewając uformowanym sosem. Pokrajać w grube plastry i podać do sałaty ze śmietaną i jajami.

ROGALIKI Z SZYNKĄ (Schinkenkipfel).

Dwadzieścia deka mąki rozczynić szklanką letniego mleka i dwoma deka drożdży, nie zapomnieć wsypać soli (łyżeczkę od kawy). Postawić w ciepłe, aby podrosło. Wbić dwa jaja (pół jednego żółtka zostawić do posmarowania), łyżkę cukru i tyle mąki, aby ciasto po doskonałym wyrobieniu dało się cienko rozwałkować, mniej więcej około trzydziestu deka, zależnie od suchości mąki. Ciasto rozwałkować na pół palca, posmarować cienko masłem (na pół kilo mąki — piętnaście do dwudziestu deka masła), złożyć we czworo, przewałkować poraz drugi, znowu złożyć we czworo, przewałkować poraz trzeci. Nakoniec rozwałkować raz jeszcze do grubości pół palca i pokrajać na dwanaście równych trójkątów. Dwadzieścia deka gotowanej, przerastającej szynki, pokrajanej jaknajcieniej, ułożyć na tych trójkątach ciasta w taki sposób, aby szynka nie dochodziła na palec do brzegów ciasta. Zacząć zawiązać od szerokiej podstawy trójkąta, zwinąć lekko, nadając kształt rogalika, i ułożyć je na blasze, posypanej mąką. Postawić w ciepłe, aby podrosły. Posmarować pozostawionym żółtkiem. Upiec w dobrze gorącym piecu, przełożyć na półmisek, przykryć złożoną w kilkoro serwetą. Podawać gorące, lub zimne — gorące są smaczniejsze.

Już ukazała się w druku książka

ZUZANNY RABSKIEJ

p. t.

„O DZIECIACH NIE DLA DZIECI“

Zawiera ona cykl nowelek o wartości zarówno literackiej, jak pedagogicznej, wykazując cały szereg błędów wychowawczych, które mogą wyrządzić zgubne skutki na kształtowanie się duszy dziecięcej. Żywość i trafność obserwacji życiowych, głęboka znajomość psychiki zarówno dzieci, jak dorosłych, oraz plastyczne i konkretne ujęcie tematów sprawiają, że książka ta jest nie tylko zajmującą lekturą, ale i użyteczną pomocą dla wszystkich tych, co zdają sobie sprawę z doniosłości zadań wychowawczych.

Cena 2 zł.

z przesyłką poleconą — 2 zł. 70 gr.

Zamawiać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 99.

MUS TRUSKAWKOWY

Czterdzieści deka truskawek przepuścić przez maszynkę. Czterdzieści deka cukru rozgotować z taką tylko ilością wody, ile obejmie; gorący syrop wylać na truskawki, lecz nie gotować razem wcale. Osiem listków żelatyny czerwonej wymoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w pół szklance gorącej i dodać do truskawek. Nakoniec wcisnąć sok z pół cytryny i ubijać trzepaczką, trzymając naczynie z owocową masą na lodzie, lub chociaż w zimnej wodzie. Gdy mus gęstnieć już zacznie, wylać foremkę wodą, wysypać kraniami w cienkie paski słodkimi migdałami, wlać w nią mus i dać mu dobrze zastygnąć. Po paru godzinach można już go podawać. Wyrzucić na półmisek i ubrać wokoło lekkimi biszkopcikami, wiórkami, lub suchymi piankami z białek.

KALTESZAL Z PIWA

Wyborny, chłodzący napój na dnie upalne, znacznie mniej kosztowny od kruszonu. Przedewszystkiem należy pokrajać czarny razowy, lub dobry, zaparzany, pyłowy chleb w cieniućne paski i ususzyć je w piecu do lekkiego zrumienienia. Do dużej wazy wrzucić czterdzieści deka aromatycznych truskawek, zasypać je dwudziestoma deka cukru i zalać pół szklanką konjaku, lub araku. Niech tak postoją godzin parę; wcisnąć w to sok z całej dużej cytryny, wlać trzy butelki piwa, włożyć dwa kilo lodu, porąbanego w kawałki, i podawać. Do każdej szampanki, przed nalażeniem kalteszalu, włożyć łyżkę suszonego chleba. Napój ten najlepiej pić przez słomkę,

Pani Eżbieta.

DOBRE RADY

Aby oliwa nie jęłczała, wrzucić do butelki 40 ziarn surowego ryżu.

* * *

Wzmacniającym środkiem na dziąsła i zęby jest szalwja ogrodowa. Z jej świeżych lub suszonych liści zrobić można mocny odwar i używać go do płókania ust, dolewając po kilkanaście kropel do szklanki wody.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostaczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 1.50, poduszka — serwetka — zł. 1., drobne desenie — gr. 50.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wysyłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„ZIMNE NAPOJE“

SPOSÓB PRZYZRĄDZANIA KRUSZONÓW,
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOJÓW

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“. Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom. „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, lilijowe i ziołowe. Róża higieniczne. Maski na twarz. Maść na pęgi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31 m. 3.

Na prowincję wysyła za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak. - Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. - Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.

